

TADEUSZ RITTNER W MAŁYM DOMKU

DRAMAT 75036



WARSZAWA 1907 NAKŁAD I Druk
TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S^{OW}.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I SKA

W MAŁYM DOMKU

75036

Tadeusz Rittner.

W MAŁYM DOMKU

DRAMAT W TRZECH AKTACH.



WARSZAWA

Nakł. i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów

Skład główny w księgarni E. WENDE i S-ka.

1907.

Zastrzega się prawo własności wobec scen.



I 2.047.995

Cim

OSOBY:

Doktór.

Marya, jego żona.

Wanda, jego kuzynka.

Sielski, nauczyciel.

Jurkiewicz, inżynier.

Sędzia.

Sędzina.

Notaryusz.

Notaryuszowa.

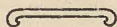
Kosicki; prowizor.

Kasia, sługa.

Szymon, robotnik.

Mały Antek.

Rzecz dzieje się w małym mieście, w Galicyi.



AKT I-y.

U doktora. Dom stoi niedaleko kolei. Okna (naprzeciw widowni) otwarte — widać przez nie trochę zieleni i malwy wysokie i smukłe. Na ścianach naiwne olejodruki. Fajczarnia; czuje się prawie zapach cybuchów, zresztą także dzieciarnia i pokój ordynacyjny, do którego prowadzą drzwi z lewej strony. W kącie biurko zarzucone wszystkiem prócz papierów: fartuszek, pajac etc. Nad biurkiem rogi jelenie, szpady, strzelby, także półka z książkami. W pośrodku stół z jasnego drzewa. Po prawej stronie koło drzwi, prowadzących do sieni, kredens; na ścianie portret doktora; pod lewą ścianą czarna ceratowa sofa.

ART I.

1. The first object of this work is to show that the
principles of geometry are not self-evident, but
are derived from a set of assumptions which
are not self-evident. The second object is to
show that the principles of geometry are not
self-evident, but are derived from a set of
assumptions which are not self-evident. The
third object is to show that the principles of
geometry are not self-evident, but are derived
from a set of assumptions which are not self-
evident. The fourth object is to show that the
principles of geometry are not self-evident, but
are derived from a set of assumptions which are
not self-evident. The fifth object is to show
that the principles of geometry are not self-
evident, but are derived from a set of assump-
tions which are not self-evident. The sixth
object is to show that the principles of geometry
are not self-evident, but are derived from a set
of assumptions which are not self-evident. The
seventh object is to show that the principles of
geometry are not self-evident, but are derived
from a set of assumptions which are not self-
evident. The eighth object is to show that the
principles of geometry are not self-evident, but
are derived from a set of assumptions which are
not self-evident. The ninth object is to show
that the principles of geometry are not self-
evident, but are derived from a set of assump-
tions which are not self-evident. The tenth
object is to show that the principles of geometry
are not self-evident, but are derived from a set
of assumptions which are not self-evident.

SCENA I.

Marya—Kasia — Antek.

(Przy oknie stoją Marya i Kasia z dzieckiem na ręku; na ziemi siedzi sześciolatek Antek z książką).

Marya.

Teraz pojechał kurjer... czwarta trzydzieści, a pan doktor poszedł o trzeciej.

Kasia.

Już dwa razy byli tu po pana.

Marya.

Kasia nigdy nie słucha, jak ją o co poprosić... Trzeba zdjąć bieliznę—zaraz zacznie padać. Mnie boli głowa, a muszę się gniewać.

Kasia.

Aptekarzowa powiedziała, że nie będzie padać.

Marya.

A ja mówię, że trzeba zdjąć bieliznę. Bę-

dzie to samo, co zeszłego tygodnia, właśnie, jak przejeżdżał towarowy, druga dwanaście.

Kasia.

Pan się spóźni do ratusza. A może poczekają. Czy bez niego wybiorą burmistrza? Sługa od aptekarza mówi, że wybiorą naszego pana. Sługa od aptekarza idzie pierwszego ze służby, bo się wdawała z Frankiem od stolarza.

Marya.

Teraz grzmi... całkiem zdaleka... tak, jakby jechał wóz po moście.

Antek (na ziemi).

Mamo, jak to jest, że przychodzą takie grzmoty?

Kasia.

Dzisiaj przyszedł do naszego pana list i paczka—pewnie od tej oficerowej, co ją pan kurował.

Marya.

Niech Kasia nastawi samowar, żeby zaraz była herbata, jak pan przyjdzie.

Antek (natarczywie).

Mamo, jak to jest, że przychodzą takie grzmoty?

Kasia.

Myślę, że w tej paczce są cygara. Teraz

co dzień coś przysyłają dla pana doktora... raz wino... wczoraj nawet kwiaty.

Marya.

Od kogo były kwiaty? Dlaczego tu nie stoją? Jak mieszkałam jeszcze u matki w Krakowie, to także dostawałam... przysyłali róże, cukierki... Tak, mieszkał u nas student, który mi raz przysłał bukiet i cukierki (*wzdycha*) Ot, teraz pada...

Antek

(J. w. powtarza, jakby dla zabawy)

Mamo, jak to jest... mamo, jak to jest... mamo, jak to jest...

Marya (do chłopca)

Cicho! (*do Kasi*) Ot, pada, a mówiłam Kasi, prawda?

Kasia (choć iść)

Idę zaraz...

Marya.

Teraz? — już za późno... Pojechał kurier... trzeba robić herbatę.

Kasia.

Dobrze. (*do dziecka*) No, chodź. Czemu nie idziesz?... wolisz stać przy oknie?

Marya (prawie płacząc)

Niechże Kasia wreszcie raz usłucha.

Kasia (biorąc dziecko)

Ja przecież już idę.

Marya.

Kiedy byłam jeszcze u matki w Krakowie, to nie potrzebowałam się o nic troszczyć... a teraz nie wiem, czy ja sługa, czy Kasia, czy kto... Dlaczego Kasia ciągle mówi i mówi? Dlaczego Kasia opowiadała mi tę historię o słudze od aptekarza i o stolarzu? Co mnie to obchodzi? Kasia ze mną tak mówi, jak z drugą sługą.

Kasia.

O! pani słuchała, a teraz..

Marya.

Co mnie obchodzą te historie Kasi? Ja jestem pani, a Kasia jest (*patrzy się naraż na dół, na swoją suknię*) Co to?

Kasia.

Podarta.

Marya.

Masz!... tak teraz chodzę... (*zmienionym tonem, prawie z przyjemnością*) O! dawniej, jak byłam panną, ubierałam się inaczej... nosiłam zawsze coś z czerwonym, wie Kasia?

Kasia.

Tak.

Marya.

Pan doktor mieszkał wtedy u nas... mówił, że mi z czerwonym do twarzy. W jednym pokoju był student, a w drugim pan doktor. Wtedy pan doktor nie nosił jeszcze brody... teraz z brodą wygląda starzej.

Kasia.

Aptekarzowa mówi, że i teraz wygląda, jakby miał dwadzieścia pięć.

Marya (j. w.)

Ale wtedy nosił tylko czarne małe wąsiki... Taki był przystojny! Wszystkie panny mógł mieć... wszystkie...

Kasia.

O! i teraz wszystkie za nim... nie tylko panny. Ale pójdę nastawić...

Marya (zatrzymując ją mimowoli)

Wtedy kochała się w nim panna, która miała kamienicę.

Kasia (z podziwem)

O!?

Marya.

I inna panna, córka jenerała... tak.

Kasia (j. w.)

O! córka jenerała?...

Marya.

Ale on nikogo nie chciał... nikogo... bo tylko mnie...

Kasia (prędko)

Tak... tak, wiem... bo musiał.

Marya.

Co?.. bo tylko mnie kochał, rozumie Kasia?.. tylko mnie... nikogo, prócz mnie.

Kasia.

Tak, tak...

Marya.

Rzucił wszystko i... co Kasia mówi?.. jakto?..
(gniewnie) Dlaczego Kasia nie idzie?

Kasia.

Idę... idę!.. (odchodzi z dzieckiem na ręku.
Chłopiec wstaje, rzuca żołnierza i idzie za nią).

Marya (do chłopca)

A ty czego? chcesz może do ogrodu, co?...
zmoczyć się?.. w taki deszcz?... (chce wyjść drzwiami
na prawo, wiodącemi do sieni, ale u progu
spotyka się z Jurkiewiczem).

SCENA II.

Marya—Jurkiewicz — Antek.

Jurkiewicz.

(mówi trochę słodkim, pieszczonym głosem; starannie ubrany, pince-nez na nosie—mając ją za służkę).

Nie puścisz mnie, dziecko?

Marya *(cofając się kilka kroków)*

Co?

Jurkiewicz.

Nie bój się. Jak ci na imię?

Marya *(śmiejąc się z zakłopotaniem)*

Mnie?

Jurkiewicz.

No, tak; musimy się poznać, bo będę tu mieszkał.

Marya.

Tu?...

Jurkiewicz.

Tutaj, u pana doktora. *(zbliża się, jakby ją chciał wziąć pod brodę. Marya się cofa).*

Antek.

Mamo, ja chcę do ogrodu... do o...gro...du!...

Jurkiewicz *(zmieszany)*

Co?... a... przepraszam!.. to dobre... myślałem...

Marya (czerwona, śmiejąc się)

Pan myślał, że jestem Kasia.

*(Antek widząc, że na niego nie zwracają
uwagi, wybiega do ogrodu).*

Jurkiewicz (J. w.)

Coś podobnego... to jest... Nie wiem, kto Kasia, ale... *(kłania się nisko)* Jurkiewicz *(całuje ją z galanterią w rękę)*. Niech się pani nie gniewa... Mąż pani nic nie mówił... Jestem inżynier Jurkiewicz... buduję tutaj most.. Może pani słyszała, zwykły mościk na łańcuchach, kettenkonstruktion... Pan doktor... to jest mąż pani..

Marya.

Mój mąż...

Jurkiewicz.

Wynajął mi pokój na kilka tygodni... to jest do 15-go września... aż skończę budowę mostu.

Marya.

Mąż nic mi nie mówił.

Jurkiewicz.

Jeżeli pani się nie zgadza...

Marya.

Ależ nie... nie... Może pan u nas mieszkać, skoro Lolek tak chce. Czy pan przyjechał tym pociągiem o ósmej pięćdziesiąt?

Jurkiewicz.

Ja tu już jestem tydzień i dotychczas mieszkałem bardzo niewygodnie, w jednym pokoju z moim przyjacielem Kosickim.

Marya.

Z tym... prowizorem?...

Jurkiewicz.

Z prowizorem.. Mąż pani zapewne na posiedzeniu w ratuszu?.. wybierają burmistrza.

Marya.

Nie, mój mąż ma operacyę.

Jurkiewicz.

Tu bardzo ładnie!.. bardzo mi się podoba to miejsce. Taki biały domek... okna patrzą się tak pocziwie... a pod oknami czerwone malwy...

Marya.

Ja nie lubię malw, bo to zwykłe; chciałam róże...

Jurkiewicz.

Od pierwszej chwili ten domek mi się podobał... i powiedziałem sobie: będziesz tu mieszkał!... Mój przyjaciel, Kosicki, odradzał mi dlatego, że blisko kolei... ale ja powiedziałem sobie: tu, albo nigdzie!

Marya.

Tu nie słyszy się pociągów, tylko raz w nocy, jak gwizdże ten pośpieszny, o jedenastej pięć.

Jurkiewicz.

Pani zna wszystkie pociągi, co?... pani stoi pewnie często przy oknie i patrzy się na kolej. Myślałem sobie: nie smutno pani tak daleko za światem?

Marya.

Za światem? Mnie wszystko jedno.

Jurkiewicz.

Pani oddawna żyje w tem miasteczku?

Marya.

Odkąd wyszłam za mąż—ośm lat.

Jurkiewicz.

Jestem szczęśliwy, że mi będzie wolno tu mieszkać. Ja zawsze mieszkam przy jakiejś rodzinie... także w mieście... zawsze, zawsze... to mój zwyczaj, proszę pani... Ja lubię ciepło.

Marya.

Tak.

Jurkiewicz.

Tak, proszę pani. Nie lubiłem nigdy pokoiów z osobnem wejściem i z brzydkimi meblami.

Marya.

Nasze meble stare, mamy zawsze te same, tylko w pokoju ordynacyjnym męża są nowe, z wielkimi kwiatami.

Jurkiewicz.

Dom, w którym panuje kobieta, jest zawsze piękny. Czuje się to piękno w powietrzu... mniej-
sza o meble. Potrzebuję właśnie tej atmosfery,
żeby istnieć... Tutaj jest ślicznie! (*patrzy się jej
w oczy*).

Marya

(czuje jego wzrok, rumieni się i patrzy na swą podartą suknię; od tej chwili stara
się ją ciągle ułożyć tak, żeby nie było widać, że na dole podarta).

Nie wiem, co to jest, że jeszcze nie ma męża.

Jurkiewicz.

Mąż pani jest nadzwyczajny człowiek...
Wszyscy go szanują i wychwalają pod niebiosy.

Marya.

Ludzie nie dają mu spokoju; cały dzień nie
ma go w domu.

Jurkiewicz.

To są obowiązki, łaskawa pani... zawód le-
karza... no, a potem obowiązki względem miasta.
Ja mu zazdroszczę... bo ja mam tylko pracę, a on

ma po pracy dom. Kiedy wraca, to te okna witają go już zdaleka, i te malwy pod oknami... a w oknie niebieskie oczy.

Marya.

Cały ranek w szpitalu. Jakie niebieskie oczy w oknie?.. A potem przychodzą ludzie... Czy jest pan doktor?.. czy jest pan doktor?...

SCENA III.

Ciż — Kosicki.

Kosicki.

(ukazuje się w drzwiach ogrodowych, zadyszany).

Czy jest pan doktor?

Marya *(śmiejąc się)*

Ot, widzi pan... Nie ma, pojechał na operację.

Jurkiewicz *(wskazując Kosickiego)*

Mój przyjaciel...

Marya.

A tak...

Kosicki.

Przysłał mnie aptekarz *(do Jurkiewicza)* A! jak się masz?.. Wszyscy są w ratuszu... niezadługo będzie głosowanie.

Marya.

Niech pan powie, że mój mąż wyjechał.

Kosicki.

O!—tak ważne posiedzenie...

Marya.

No, cóż? On ma operację.

Kosicki (do Jurkiewicza)

Ty już tu mieszkasz, Stasiu?

Jurkiewicz.

Jak widzisz, zaczynam mieszkać.

Marya (wstając)

Nawet nie wiem, czy pana pokój w porządku... Winien Lolek, bo nic nie mówił... On nigdy nie powie... Zaraz...

Jurkiewicz.

Ach! pani trzodzi się sama.

Marya.

Pójdę popatrzeć (odchodzi).

SCENA IV.

Kosicki—Jurkiewicz.

Kosicki.

No, jakże?



Jurkiewicz.

Dobrze... od kilku minut bardzo dobrze.

Kosicki.

Albo co?

Jurkiewicz.

No, nic; ona mi się podoba.

Kosicki.

Kto?.. doktorowa?

Jurkiewicz.

Nareszcie kobieta!—a ja nic innego nie chcia-
łem. Pierwsza prawdziwa kobieta, którą u was
widzę.

Kosicki.

A niech cię!...

Jurkiewicz.

Czemu się dziwisz?

Kosicki.

Można tu mieszkać latami, a doktorowa nie
wpadnie człowiekowi ani razu na myśl; to już tak
jest. Spytaj się notaryusza albo komisarza, albo
kogo chcesz z młodych ludzi.

Jurkiewicz.

Hm!.. dlaczego?

Kosicki.

Dlatego, że... no, nie wiem... Jej poprostu nie ma.

Jurkiewicz.

Jakto nie ma? Moja dusza zadrżała i zbladła, jak panna... a ty mówisz, że jej nie ma.

Kosicki.

Jest tylko jej mąż, nasz wielki doktor.

Jurkiewicz.

Jeżeli ten doktor naprawdę taki wielki, to się ztąd wyprowadzę, bo ja nie lubię wielkości... zwłaszcza w małym miasteczku.

Kosicki.

O niej wcale się nie mówi, prawie nie wypada.

Jurkiewicz.

Jakto?

Kosicki.

No, ze względu na pewne... Co tu mówić? Zresztą ona także głupia.

Jurkiewicz.

Głupia? Ach! jakie to sympatyczne!

Kosicki.

Dla mnie nie... ot, widzisz, kuzynka doktora, panna Wanda... nie znasz?

Jurkiewicz.

Nie, panny mnie nie zajmują. Dlaczego o doktorowej się nie mówi?

Kosicki.

Hm... to małżeństwo...

Jurkiewicz (zaciekawiony)

Nie kochają się?

Kosicki.

Tu nie o to chodzi.

Jurkiewicz (j. w.)

Nie o to?

Kosicki.

Pomyśl tylko... człowiek, który miał przed sobą karierę, musiał się nagle ożenić.

Jurkiewicz (j. w.)

Musiał?

Kosicki.

No, tak. Była sobie wdowa w Krakowie... mieszkała z córeczką koło uniwersytetu i wynajmowała studentom pokoje; doktor u nich mieszkał... Zdaje się, że mamusia uważała za mało na córeczkę, no i...

Jurkiewicz.

A tak?

Kosicki.

Widziałeś tego miłego chłopczyka, który biega po ogrodzie? Państwo pobrali się coś w miesiąc przed jego narodzeniem.

Jurkiewicz (prawie z uciechą)

Ciekawy dom... interesujący dom.

Kosicki.

Co za człowiek, że się z nią ożenił—prawda? poświęcił wszystko. Inny na jego miejscu drapnałby, nie troszcząc się o pannę... ale on jest charakter.

Jurkiewicz (j. w.)

Prawda, prawda!

Kosicki.

Zrezygnował z przyszłości. Zakopał się w tej dziurze. A teraz już się ztąd nie wydostanie... dzieci etc. Tak, jak ze mną... gdybym nie był padł przy maturze... Zostanie tu na zawsze—rozumiesz?..

Jurkiewicz (zacierając ręce, chodzi po pokoju)

Rozumiem, że mu tu wcale nieźle. Gdzie się przyjdzie, co drugie słowo: „doktór...” —on jest wszędzie, a ona siedzi sobie w domu ze służką i z dziećmi... ona, o której się nie mówi, siedzi sama przy oknie i patrzy się, jak jadą pociągi... pośpieszny, towarowy, osobowy... ósma trzydziści... druga dwadzieścia...

Kosicki.

On jest energiczna bestya—temperament, talent organizatorski... W swoim rodzaju król. Pewny jestem, że go zrobią burmistrzem. Czego ty się tak cieszysz?

Jurkiewicz.

Ja? Cieszę się, że doktor zostanie burmistrzem. Co za honor mieszkać w takim domu.

Kosicki.

No, to jeszcze niepewne; ma konkurentów.

Jurkiewicz.

Nie, wiesz, cieszę się z czego innego... lubię takie domy. Ona tak się czuje niczem, że miałem ją w pierwszej chwili za sługę—lubię takie domy.

Kosicki.

Dlaczego?

Jurkiewicz.

Bo królowe są nudne... nie są kobiety; a takie niewolnice kocham. Rozkwitają nagle i pachną, jak róże, jeśli im powiedzieć: królowa.

Kosicki.

Jesteś dziwny człowiek. Spytaj się kogo chcesz... ona nie wpadnie nikomu na myśl.

Jurkiewicz.

Kłęknać przed nią i powiedzieć jej...

Kosicki.

Jesteś dziwny człowiek.

Jurkiewicz.

Mówić jej rano i wieczór: jesteś śliczna!

Kosicki.

Nie wpadnie nikomu na myśl.

Jurkiewicz.

Wierzę, że wam nie wpadnie.

Kosicki.

Chodźmy na rynek.

Jurkiewicz.

Po co?

Kosicki.

Popatrzeć na ten ruch koło ratusza.

Jurkiewicz.

Czy to ciekawe? (*bierze kapelusz*). No, dobrze, chodźmy. Jak ona się nazywa?

Kosicki.

Marya.

Jurkiewicz.

Widzisz, są dwie metody: pierwszą zastosowuje się do kobiet dumnych, te dumne kobiety się brutalizuje. Ale to dobre dla ludzi o silniej-

szej konstytucyi — a ja jestem delikatny... jestem do takich kobiet, jak doktorowa. Przed nią się klęka i mówi się jej...

Kosicki.

Ha! ha! wiem... królowa. Ach ty!.. Ja bałbym się doktora...

Jurkiewicz.

Chodźmy na rynek.

SCENA V.

Ciż — Marya.

Marya (wchodząc przez prawe drzwi)

Pokój w porządku; ale będzie ciasno... Niech pan nie dziwi się, że tak ciasno...

Kosicki.

Idziemy na rynek.

Jurkiewicz.

Idziemy agitować za mężem pani.

Kosicki.

Co tu agitować... nie ma kwestyi, że pan doktor zostanie burmistrzem.

Marya.

On? ja nic nie wiem... Mój mąż mówił, że zostanie notariusz.

Jurkiewicz.

A pani nie chce zostać burmistrzową?

Marya.

Ja? mnie wszystko jedno.

Jurkiewicz.

Wszystko jedno? o! dlaczego? Pani zawsze tak mówi. Jeżeli się jest młodą, to nie powinno być nic wszystko jedno (*klania się przed nią głęboko*) Pani burmistrzowo...

Marya (*śmiejąc się*)

El.. co pan mówi...

(*Kosicki i Jurkiewicz wychodzą*).

SCENA VI.

Marya — Wanda — Doktor.

Marya

(idzie do biurka i robi porządk; chwilę stoi przed lustrem, potem patrzy się na swą podartą suknię, bierze igłę i nitkę i zaczyna szyć obdartą falbanę, przytem potrząsa głową, jakby nagle zobaczyła, że już cała suknia stara i brzydka; z prawej wbiega Wanda, przechodzi szybko przez scenę, nie patrząc na siedzącą na sofie Maryę).

Wando!...

Wanda

(nie odwracając się, biegnie do ogrodu; już w drzwiach środkowych odpowiada):

Zaraz!.. (*znika*).

Marya.

(kładzie igłę i nitkę, idzie do okna i patrzy na ogród, nagle woła przez okno):

O! Lolek!.. zmokłeś?

(W drzwiach ogrodowych ukazuje się Wanda, a za nią doktor:)

Wanda.

Widziałam cię z góry, z okna.

Doktor (wchodząc)

Jestem wzruszony przywitaniem!

Marya.

Zmokłeś?

Wanda.

Przyjechał bryczką notaryusza.

Doktor (do Maryi)

Czemu ty taka zaspana?

Marya.

Ja zaspana?

Doktor.

Ha, ha! pewnie stałaś znowu cały dzień przy oknie.

Marya.

Gdzież tam! Byli tu dwa razy po ciebie ludzie, żebyś przyszedł do ratusza. Przyszła paczka dla ciebie. Był ten inżynier, któremu wynajęłaś pokój.

Doktor.

Tak? dobrze... ratusz... paczka... inżynier...

(*kładzie torbę na biurku i nuci półgłosem*). Na wybór nie pójde... to zapóźno... niech głosują bezemnie. (*patrzy na zegarek*) Już zapóźno. To była przyjemność!... Krajałem tę damę coś pół godziny... Ale wiesz, Wanda, dostałem za to sto reńskich na szpital.

Wanda.

Dał stary Blumfeld?

Doktor.

Dał... Męczyłem go tak długo, aż beknął. Wyratowałem życie twojej córce, stary sknero, za to płać!.. Ha! ha! musiał...

Marya.

Sto reńskich na szpital? Co z tem zrobicie?

Doktor (*drwiąco*)

Bal!... urządzimy bal i zaprosimy ciebie.

Marya.

Przyszły dwa listy. Sędzina kazała się pytać, czy będziesz dziś w domu. Prowizor powiedział, że z pewnością wybiorą ciebie.

Doktor (*z roztargnieniem*)

Tak? tak?

Marya.

Dlaczego mi nie powiedziałeś, że wynająłeś pokój temu inżynierowi?

Doktór J. W.

Hm!.. moja droga... co chciałem powiedzieć...
(*przegląda prędko listy na biurku*) Daj mi herbaty... (*Marya idzie, doktor patrzy za nią, śmiejąc się*) Ładna sukienka!.. to turecka materya, czy indyjska?

Marya (staje u progu)

Co?

Doktór (śmiejąc się)

Nic... nic... (*przysępuje nagle do niej i zgina jej głowę w tył*).

Marya

(na pół sennym, na pół zdziwionym głosem:)

Co?

Doktór

(całuje ją w szyję krótko, ale namiętnie)

Idź... biegaj... przynieś herbaty!..

(Marya odchodzi. On, nucąc ciągle, przysępuje do Wandy)

Przypomniał mi się ten kadryl, który grali u naczelników... la la la...

SCENA VII.

Doktór — Wanda.

Wanda (podstępnie)

Ciebie dziś nie zajmuje posiedzenie rady?

Doktór.

Cóż, jeżeli mają mnie wybrać, to uczynią to i bezemnie.

Wanda.

Ej, nie udawaj, że ci to obojętne; pewna jestem, że o niczem innem nie myślisz.

Doktór.

O! to się mylisz grubo! Ja myślę nad tem, że będziemy mogli urządzić na nowo salę operacyjną.

Wanda.

Hm...

Doktór.

Tak. (*chodzi po pokoju*). Pocóż miałem iść na głosowanie? (*patrzy nerwowo na zegarek*). To zresztą i tak zapóźno.

Wanda (*z lekką ironią*)

Tak; zwłaszcza, że ci to obojętne.

Doktór.

Hm!.. (*nagle*) Cóż inżynierek?.. Czy podobał ci się ten ładny chłopak ze świata?

Wanda.

Ach! ten, któremu wynająłeś pokój?.. wcale go nie widziałam; mówiła z nim Marynia.

Doktór (ironicznie)

Strasznie elegancki młodzieniec! Przecież taki panicz z wielkiego miasta, to całkiem co innego... Cieszę się już na to, jak będzie robił przedstawienie... jak będzie udawał...

Wanda.

Aha! Europę.

Doktór.

Właśnie... Z każdego słowa takiego pana słyszy się pewną litość. Taki pan przyjeżdża z centra cywilizacji... Ale chce mnie wziąć tem, że chwali wszystko, co tu widzi.

SCENA VIII.

Ciż — Marya.

(*Marya wnosi herbatę i nalewa*).

Doktór.

Unosi się nad wszystkim; mówi, że ładny dworzec, ładna poczta, ładny szpital., całkiem tak, jak Marynia, kiedy była ze mną we Włoszech (*Marynia patrzy z podełba na doktora*) Pytam: cóż ci się podobało najwięcej, Maryś, serce moje?... czy Watykan, czy San Marco, czy palazzo Pitti?.. a ona: wszystko ładne! (*śmieje się*).

Marya (zmieszana, podejrzliwie)

Bo było ładne.

Wanda (krzywi się)

Lubię, jak jesteś taki dowcipny!..

Marya (j. w.)

Bo cóż... jakże? dlaczego miałam mówić, że nie, kiedy mi się podobało?

Doktór.

Naturalnie... ha! ha! dlaczego miałas mówić, że nie.

Marya.

Dać ci cukru?

Doktór.

Dosyć!

(Marya odchodzi).

SCENA IX.

Wanda — Doktor.

Wanda.

Marynia jest przynajmniej szczerą.

Doktór (zapalając sobie papierosa)

Strasznie!

Wanda.

A ty... daj mi ognia... ty jesteś nieszczerą.

Doktór.

He?

Wanda.

Naprzykład udajesz, że jesteś wesół... śmiejesz się ciągle... żartujesz.

Doktór.

A ja nie jestem wesół?

Wanda.

Nie.

Doktór.

A co jestem?

Wanda.

To chciałabym właśnie wiedzieć; na razie wiem tylko tyle, że coś udajesz... i to mię zajmuje, bo chciałabym wiedzieć, co w tobie jest naprawdę.

Doktór.

Ha! ha!...

Wanda (zatykając sobie uszy)

Znowu?.. to mi działa na nerwy!..

Doktór.

O! pani ma nerwy? przepraszam... od kiedy oddajesz się temu zajęciu?

Wanda.

Jakiemu?

Doktór.

No, obserwowaniu mojej osoby.

Wanda.

Odkąd mnie wzięłeś z pensyi do siebie.

Doktór.

Jestem z tego niesłychanie dumny.

Wanda.

Tak, mnie się także wydaje, że jesteś próżny, i że lubisz, jak się tobą zajmują.

Doktór.

To każdy lubi.

Wanda.

Strasznie ci przyjemnie, jak tutejsze panie mówią o tobie, że jesteś interesujący, dlatego tyle z niemi rozmawiasz.

Doktór.

Tak, mówię dużo z ludźmi.. dlaczego nie?.. jestem towarzyski człowiek; to przecie nie jest żadna zbrodnia... Ale panna Wanda tego nie pojmuje.

Wanda.

Panna Wanda ma straszną nieufność do towarzyskich ludzi.

Doktór.

Do licha!—panna Wanda zapewne myśli, że kto szuka ścisku, ten jest złodziejem kieszonkowym, albo czemś podobnem.

Wanda.

Tak, mniej więcej.

Doktór.

Wolę ludzi choćby najgłupszych, jak nudy.

Wanda.

Nawet wolisz głupszych, bo cię więcej podziwiają.

Doktór.

Wolę głupszych, bo więcej krzyczą. Lubie dużo głosów, dużo hałasu.

Wanda.

Aha! na przykład jak będą wołać: niech żyje pan burmistrz! niech żyje!

Doktór.

Ha! ha! wszystko jedno co, byle krzyczeli. Ja tylko nie znoszę ciszy.

Wanda.

(niewinnie, lekko, opierając głowę na dłoni i patrząc mu się w oczy)

Ach! w takim razie musiało ci tu być gorzko z początku, po wielkiem mieście.

Doktór.

Z początku? może... ale to krótko trwało... bo ja nie znoszę spokoju. Zacząłem budzić ludzi... ty wiesz, ja to umiem. Zaczęło się coś dziać...

ruch, życie... Nie daję im spać, a przecież mnie lubią.

Wanda.

Jesteś popularny... tak. Musisz się czuć, jak w cieplarni. Stałam dziś na górze przy oknie i cieszyłam się, że ludzie kłaniają się przed naszym domem... (*nagle na pół seryo*) Ale wpadło mi na myśl, że tam na dole stoi Marynia także przy oknie i psuje całe wrażenie... Mogłaby się lepiej ubierać, jako żona przyszedłego burmistrza.

Doktor.

Powiedz jej: moja Maryniu, ubieraj się tak, żebym nie potrzebowała wstydić się ciebie.

Wanda (*nagle, prawie obojętnie*)

Czy ty ją kochasz?

Doktor (*wstaje*)

Co?.. (*wybuch śmiechem*).

Wanda (*niecierpliwie, prędko*)

Nie śmieję się... nie śmieję się!

Doktor.

Słucham.

Wanda.

Czy ty kochasz Marynię?

Doktor.

Tak, rozumie się.

Wanda (j. w.)

Dobrze; tylko znowu się nie śmieję. Powiedziałeś uczciwie, poprostu: tak.

Doktór.

I cóż dalej?

Wanda.

Nic. Gdyby mnie kto kochał, to ubierałabym się i chodziłabym, jak księżniczka.

Doktór (z żartobliwą powagą)

A ciebie nikt nie kocha?

Wanda.

Nikt mi jeszcze tego nie powiedział.

Doktór.

Ale może kocha.

Wanda.

Nie, to trzeba powiedzieć.

Doktór.

Koniecznien?

Wanda.

Tak; i nie tylko raz. Gdybym była żoną, to mąż musiałby mi to mówić codziennie.

Doktór.

Dziękuję!.. codziennie!.. codzień się starać... ha! ha! Czy żona nie jest moją?

Wanda (ironicznie)

Rozumie się... twoją własnością... tak pewną,
jak naprzykład ten dom, który jest asekurowany.

Doktór.

Ha! ha! widzisz!.. i tak płaci się za duże
premje (*otwierają się drzwi z ogrodu i wchodzi
nagle, niepostrzeżenie Sielski*).

SCENA X.

Doktór — Wanda — Sielski.

Sielski

(jasna broda, niebieskie oczy; mówi dosyć cicho, patrzy się czasem przed siebie,
jakby w głębokiej zadumie)

Dobry wieczór!

Doktór (przestaje się śmiać)

Jezus, Marya!...

Sielski (kłaniając się przed Wandą)

Dobry wieczór pani!

Wanda (podając mu rękę)

Pan chodzi jak kot.

Sielski.

Przepraszam...

Doktór.

Cóż się stało, na miłość Boską?

Sielski.

Stało?.. nic; przyszedłem tylko panu powiedzieć, że ukonstytuowaliśmy się przedwczoraj (*nie patrząc na nich, chodzi dosyć szybko ale cichutko po pokoju*).

Doktór.

Kto? po co? Czy pan nie woli usiąść?

Sielski.

Mamy czterech członków zwyczajnych... Będziemy się nazywać... zresztą, prawda, mój wniosek upadł. Był ubogi człowiek za czasów Periklesa, który cały swój majątek poświęcił na osuszenie łąz ludzkich.

Doktór.

Czy Perikles nie wsadził go do domu wariatów?

Sielski.

Nie, panie. Ten człowiek nazywał się Agathon. Chciałem podług jego imienia nazwać nasze towarzystwo; ale mój wniosek upadł.

Doktór.

Profesorze, ja nie chcę, żebyście osuszali w naszym mieście łązy ludzkie.

Sielski (*zamyślając się*)

Z jakiego powodu? A chciałem właśnie proponować panu, żebyś przystąpił do nas; chcia-

łem, żebyś objął urząd sekretarza towarzystwa. Pan jesteś lekarzem, całe swoje życie poświęciłeś cierpiącej ludzkości.

Doktor.

Jeżeli będziecie wspierać miejscowe lenistwo, to was zamknę jako niebezpiecznych ludzi. Pan jesteś niebezpieczny wariat, bo psujesz porządek... pan jesteś wrogiem porządku, bo dajesz pieniądze tym, którzy nic nie robią.

Sielski (nie słuchając w zamyśleniu do Wandy)

Czytała pani książkę, którą pani wczoraj przyniosłem?

Wanda (żywo)

Czytałam... ładna... tylko widzi pan, ja lubię prawdę. Mnie aż tęskno za tem, żeby się dowiedzieć coś prawdziwego. Niech mi pan nie daje takich książek... bo ja teraz jestem... nastrojona na inną nutę. Czy pan rozumie?

Sielski.

Pani teraz chce prawdy? pani nie lubi, jak jej opowiadać o czemś, czego nie ma? to mi przykro...

Doktor.

Bo pan nie znasz życia, bo pan nie ma szcunku dla tego co jest...

Sielski.

Nie, Bóg mi świadkiem... tego co jest nie nienawidzę!

Doktór (z ironią)

To ciekawe!

Sielski.

Przechodząc koło ratusza dowiedziałem się, że mamy dostać nowego burmistrza.

Wanda (śmiejąc się)

Dopiero teraz pan się dowiedział?... Pewna jestem, że dzieci w pańskiej szkole wiedziały o tem wcześniej.

Sielski.

Może być, czego dzieci nie wiedzą.

Doktór.

I wiadomość o nowym burmistrzu zrobiła na panu wrażenie.

Sielski.

Pomyślałem sobie, że jeżeli już koniecznie mamy mieć burmistrza...

Doktór.

Ha! ha!

Sielski.

To najlepiej byłoby wybrać kupca Wołkowicza, ze względu na wielką dobroć serca.

Doktór.

Kogo?

Sielski.

Kupca Wołkowicza... to jest... on już nie jest kupcem, bo wszystko co miał, stracił. Pan Bóg dotknął go ciężko.

Wanda.

Czy to ten sam Wołkowicz, który...

Doktór (śmiejąc się sztucznie)

Ten sam „który“... Ale pan profesor myśli, że można go mimo to wybrać. Nie, to jest doskonałe! świetne!

Sielski (spokojnie, podnosząc ze zdziwieniem oczy)

Nie można? dla czego?

Doktór (usiłując zachować spokój)

Choćby dla tego, że był w więzieniu. Czy pan o tem nie wie?

Sielski (powoli, smutnie)

Wiem... wiem. Słyszałem o tem strasznem nieszczęściu... Zdarzyło się najlepszemu człowiekowi w świecie. Jest tak litościwy, że wszyscy biedacy uważali go za ojca. Jego kosztem żyło tysiąc nędzarzy.

Doktór (j. w.)

Pan się myli... nie jego kosztem, tylko kosztem jego wierzących... miał ich tyle, że w końcu

przebrała się miarka. Nie wiem, z kąd on panu wpadł do głowy. Czy pan żartuje? dlaczego właśnie on?..

Sielski.

Dlatego, że jest dobry, nieskończenie dobry, bo myśli więcej o innych niż o sobie... A tylko taki człowiek może stać na czele gminy, dlatego, że nie ma w nim nic samolubstwa, a wiele miłości bliźniego... wiele miłości.

Doktór (z pewną źle ukrytą irytacją)

Czy pan jesteś dziecko? czy pan nie czujesz, że człowiek, który był w więzieniu... (*machając ręką*). Et! ..

Sielski (j. w.)

Ludzie sądzą prędko, nie patrzą w serce. A jeżeli go zasądzi, czy mają go sądzić całe życie? Ah! ja wiem, że pan w duszy czuje tak jak ja. Jakiś głos wewnętrzny mówi mi zawsze, że pan wyższy ponad to, co mówią ludzie.

Doktór.

Nie wdawaj się pan z tym głosem wewnętrznym w konwersację, a słuchaj pan przecie tego, co mówią ludzie, bo to jest zazwyczaj rozsądne i zdrowe... bo ci ludzie robią prawa, według których żyjemy wszyscy. Ale pan tego nie pojmuje, pan cierpi na moral insanity, pan jesteś poprostu anarchista!..

(*Z ogrodu słyhać głos Maryi.*)

Wanda.

Ha! ha! biedny pan!..

Doktór.

Tak, anarchistą!.. w dodatku z łagodnym Chrystusowym uśmiechem... a ci są najgorsi! (*idzie kilka kroków ku drzwiom ogrodowym, nasłuchując staje, potem mówi do Maryi przez okno*). Co?.. po mnie? dobrze... do ratusza?.. idę!.. powiedz mu, że zaraz przyjdę (*bierze kapelusz i laskę*). Muszę iść! przepraszam!.. polecam się pamięci. A nie agituj pan zanadto za Wołkowiczem. Ha! ha! (*wychodząc*) Do widzenia, profesorku.

SCENA XI.

Wanda — Sielski.

Sielski.

Do widzenia! (*po chwili*) Tak mi przykro.. tak przykro...

Wanda (*śmiejąc się*)

Dlatego, że Lolek się gniewał?.. ależ bo... Jaki pan naiwny, że pan spowiada się właśnie jemu... Jakże pan mógł to mówić?..

Sielski.

Co pani?

Wanda.

No to, że najlepszym burmistrzem byłby Wołkowicz!.. Wszystkim mógł pan to powiedzieć, tylko nie jemu.

Sielski.

Dlaczego?

Wanda (j. w.).

Dlatego że... no, pan sam zobaczy dlaczego... niezaślęgo. Pan nic nie wie, co się dzieje?.. ha! ha! (*nagle łagodnie*) Ale niech pan sobie z tego nic nie robi, on zapomni!..

Sielski.

Mnie tylko to jedno jest przykre, że nie wiem czy pani za nim czy za mną.

Wanda (zaciekawiona)

Ja?.. a cóż panu na tem zależy?

Sielski.

Podczas całej rozmowy z panem doktorem, pytałem się w duszy, czy pani czuje tak jak on, czy tak jak ja.

Wanda.

Częściej tak jak pan... bo pan jesteś jakby to powiedzieć... (*śmieje się*) więcej kobiecy... pan jesteś miękki, łagodny...

Sielski.

A on?

Wanda.

Ah! to taki prawdziwy mężczyzna. On jest przede wszystkim na to, żeby rządzić. Czy pan nie myśli, że on jest sprawiedliwy?

Sielski.

Co to jest sprawiedliwość?

Wanda.

To się czuje.

Sielski.

Widzi pani, to się czuje (*pokazując na piersi*) tu się czuje... jest tutaj, a nie gdzieś tam między ludźmi. Dlaczego on ceni tak wysoko sąd ludzki? dlaczego mu na nich tak zależy? Dlaczego taki człowiek jak on nie stoi samotny w tym tłumie? On boi się siebie.

Wanda.

Co to znaczy: boi się siebie?

Sielski.

Pani, ja czasem czuję, jak człowiek nie ma odwagi mówić z sobą i wtedy mówi z ludźmi... boi się ciemnego pokoju — swej duszy. Jak dziecko ucieka tam, gdzie światło, żeby zapomnieć, że jest.

Wanda (*po chwili, z pewnem wahaniem*)

Nie, ja pana nie rozumiem.

Sielski (cicho, spokojnie)

Pani mnie rozumie, tylko pani nie zdaje sobie z tego sprawy; pani mnie rozumie dlatego, że ja za niczem innym nie tęsknię... dlatego, że ja przecież panią kocham.

Wanda.

Co? (*niby nadsluchując cicho*), pan powiedział?..

Sielski.

Że panią kocham.

Wanda

(śmieje się krótko pod wpływem nagłego zmieszania)

Nie... jaki pan dziwny... Od kiedy?

Sielski.

Nie wiem odkąd... może już bardzo dawno.

Wanda.

A teraz nagle... Dlaczego ja o tem nie wiedziałam?

Sielski.

Ta chwila wydaje mi się jak sen. Od pani wszystko zależy... od pani zależy, żebym się nie zbudził.

Wanda (z nagłym dziecięcym strachem)

Odemnie?.. ja nic nie wiem. Chciałabym pa-
nu coś powiedzieć, ale ja nic nie wiem... nic nie

czuję... Cóż ja temu winna?.. prawda? nie mówmy o tem... nigdy!..

Sielski (jak przez sen)

Pani temu nie winna... pani nic dla mnie nie czuje... Przepraszam.

Wanda (zakłopotana, bezradnie)

Tak mi przykro... jeżeli pan myślał...

Sielski.

Nie, nic nie myślałem... przepraszam... Nie wiem sam, co mi się nagle stało?

Wanda (j. w.)

Naprawdę?.. co panu nagle się stało? (*naraz śmiejąc się*) Nie, u pana nigdy się nie wie... Pan czasem powie coś tak niespodziewanego...

Sielski (melancholijnie)

Przepraszam za wszystko, przepraszam (*nagle wstaje, bierze kapelusz, klania się*) Do widzenia!

Wanda (j. w.)

Do wi... A dlaczego pan już..? (*podaje mu z wahaniem rękę*).

SCENA XII.

Ciż — Marya.

Marya. (wchodząc mówi)

A mówiłam jej, żeby zdjęła bieliznę. (*nagle widząc Sielskiego*) A! to pan!.. Panie profesorze, nie mogę sobie dać rady z moim Antkiem. Co on tam robi w szkole?

Sielski (smutny, roztargniony)

W szkole... Antek... miłe dziecko... dobre dziecko.

Marya.

Bój się pan Boga! co za lampart!.. Mówiłam mu, żeby zrobił rachunkowe zadanie...

Wanda (cicho do Sielskiego)

Pan się nie gniewa?

Sielski (j. w.)

Nie... nie... przepraszam... (*klania się*). Ja muszę...

Marya.

Niech go pan trzyma ostro w szkole, niech go pan się spyta, dlaczego nie zrobił zadania?

Sielski (odchodząc — j. w.)

Tak... tak... miłe dziecko... dobre dziecko... (*potyka się u progu*) Do widzenia! (*odchodzi*).

SCENA XIII.

Marya — Wanda.

Marya (patrzy za nim, trzęsąc głową)

Boże, zlituj się! co za waryat! Lolek ma rację.

Wanda.

Maryniu!

Marya.

Co?

Wanda.

Czy ty sobie jeszcze przypominasz, jak ci Lolek powiedział, że cię kocha?

Marya (z lekką goryczą, prędko)

Nie, tego sobie już naprawdę nie przypominam. On teraz wogóle nie ma czasu, żeby ze mną mówić. Zkąd ci to przyszło?.. Co się z wami dzieje?

Wanda.

Bo wiesz... to nie robi żadnego wrażenia.

Marya.

Co nie robi?

Wanda.

Myślałam, że to Bóg wie co, jak komu powiedzą kocham... a to nic... to nie robi wrażenia.

Marya (zaciekawiona)

Albo co? kto ci powiedział?

Wanda

(wskazując palcem na drzwi, którei wyszedł Sielski)

Ten...

Marya.

Nauczyciel?

Wanda.

Tak.

Marya.

A ty co na to?

Wanda.

Ja? nic...

Marya (trzęsie głową, siada)

Nie!.. naprawdę?.. (*po chwili*) Lolek nie pozwoliłby nigdy na to. Czy to ma sens? On nie ma centa. Zresztą...

Wanda.

Ależ mnie się nawet nie śni...

Marya (prędko)

Lolek nie pozwoliłby nigdy... Ty zrobisz partyę, bo jesteś jak laleczka. Wszyscy cię lubią. Ot, popatrz, ja chodzę w podartej sukni... ale mnie wszystko jedno. Nie, naprawdę, wolałby uważać na swoje dzieci w szkole. Wiesz, co Antek zrobił?.. podarł ze złości zeszyt!.. Ale jak ja

do niego, to on się tylko śmieje. (*Wanda nie odpowiadając chodzi po pokoju.*) Czy Lolęk o to się troszczy?.. nie; on mówi tylko z temi paniami, które udają chorych. Śmieje się z mojej sukni... a cóż ja temu winna? Zobaczysz jak się będzie gniewał, jak mu powiesz o nauczycielu... Czy mu już mówiłaś?

Wanda (w roztargnieniu)

Nie.

Marya.

Musisz mu powiedzieć... ale jak ja będę przy tem; chciałabym słyszeć, co powie. Wy nigdy nie rozmawiacie poważnie, jak ja jestem w pokoju. Przecież taka głupia nie jestem. Proszę cię, taka sędzina myśli, że ja nic nie widzę... Ona się w nim kocha... Udaje chorą... a nic jej nie brakuje.

Wanda (j. w.)

Kto wie?.. nie można wiedzieć.

Marya.

Ha! ha! nic jej nie brakuje. Codziennie przychodzi do Lolka... słyszę, jak się śmieją. Mnie także nie raz boli głowa, a nikogo się nie radzę. Spytaj się Kasi, to ci powie, jak mnie wczoraj bolała głowa.

Wanda (j. w.)

Tak?

Marya.

Kasia zaczyna być zuchwałą... Te służki uważają mnie już za równą sobie. Dla tego, że cały dzień jestem w kuchni albo przy dzieciach.

SCENA XIV.

Też — Kosicki — Jurkiewicz.

Kosicki (ukazuje się nagle w drzwiach ogrodowych)

Niech żyje pan burmistrz!

Wanda (żywo)

Co? czy już się skończyło?

Kosicki.

Pani nie wie, co się dzieje na rynku... ludzie krzyczą jak waryaty.

Wanda.

Kto?.. niech pan powie, kto wybrany?

Kosicki.

Niech pani zgadnie.

Jurkiewicz (wchodząc)

Czy mogę pani powinszować?

Marya.

A!.. Lolek!?

Wanda.

Pójdę naprzeciw niego.

Marya (przedstawiając)

Pan inżynier Jurkiewicz.

Jurkiewicz.

Winszuję paniom najserdeczniej!.. To wprowadzie do przewidzenia... *un secret de polichinell*... ale zawsze... Ogromnie się cieszę.

Wanda.

Dziękuję! Czy mój kuzyn wraca już do domu?

Jurkiewicz.

Idzie otoczony gwardyą pięknych pań i dygnitarzy.

Wanda (krzywiąc się)

A! to dziękuję!

Kosicki.

Niech pani się nie boi... pójdę z panią... Proszę... (*Wanda waha się chwilę, wreszcie idzie — wychodząc*).

SCENA XV.

Marya — Jurkiewicz.

Jurkiewicz (biorąc Maryę za rękę)

Czy można złożyć hołd? (*całuje ją w rękę*).

Marya (zmieszana)

Mnie?.. ah! co pan...

Jurkiewicz (z uśmiechem)

Bo pani piastuje teraz wielką godność.

Marya (j. w.)

Ja?.. mój mąż... cóż ja znaczę? Dlaczego pan tak patrzy?

Jurkiewicz.

Kiedy widziałem panią po raz pierwszy, uczułem podziw a zarazem bojaźń tak jak przed czymś, co stoi wysoko... wysoko nademną.

Marya (j. w.)

Ah! gdzież tam! Pan przecież miał mię za Kasię, a nie za coś, co stoi wysoko, czy jak...

Jurkiewicz (smutnie)

Jestem zawsze niezręczny... z nieśmiałości... Dopiero kiedy pani poszła, powiedziałem do mego przyjaciela Kosickiego: widziałem teraz pierwszą jedyną kobietę.

Marya.

Albo ich tu mało? Pan pewnie nie widział ani pani sędziny, ani naczelnikowej.

Jurkiewicz.

Ha! ha! sędzina, naczelnikowa!..

Marya.

Czemu pan się śmieje? Pan ich nie widział? Jeżeli która do mnie przemówi, to jestem tak zakłopotana, że nie wiem, co mówić. Ja się ich boję.

Jurkiewicz.

To może one boją się pani... bo pani najpiękniejsza, najmiłsza... One pani zazdroszczą. A czy mąż pani nie znaczy co najmniej tyle, co taki sędzia albo naczelnik?

Marya.

Nie wiem... nie wiem... niech pan tak nie mówi! Ja się ich boję... nie wiem dlaczego. Dlaczego one nie mówią ze mną, tak jak ze sobą?.. dlaczego sędzina mówi tylko z moim mężem a nigdy ze mną?.. I tak wszyscy! Pan jest dlatego ze mną inny, bo pan niedawno przyjechał. Ale jak pan dłużej zostanie...

Jurkiewicz.

Żebyś mógł zostać jak najdłużej!.. Pani nie wie, jak mi tu teraz dobrze... (*ciszej*) Odkąd znam panią.

Marya (*zmieszana*)

Mnie?.. Dlaczego pan się patrzy?.. Pan patrzy jak ja jestem ubrana?.. ja sama wiem...

Jurkiewicz.

Przepraszam... ale pani tak cudownie naiwna, świeża, młoda... przepraszam, można? (*bierze znowu jej rękę*).

Marya' (*cofając się, czerwona*)

Nie, pan już raz pocałował mnie w rękę... (*odwraca się nagle*) O! idą! idą!.. mój mąż!..

SCENA XVI.

Ciż — Doktor — Sędzina — Sędzia — Notaryusz —
Notaryuszowa — Wanda — później Sielski.

Doktor (*w widocznym podnieceniu*)

Ha! ha! Co wy ze mną wyrabiacie?.. czuję się poprostu śmieszny... ha! ha!

Sędzina (*sztucznie*)

A!.. trzeba powinszować kochanej pani... (*podaje jakby z pewnym przymusem Maryi rękę*) Pani burmistrzowa... (*zwracając się na wpół do notaryuszowej, porozumiewając, lekko ironicznie*) ha! ha! pani burmistrzowa.

Notaryusz (*t. s.*)

A tak... naturalnie, że trzeba powinszować... (*podaje Maryi ostrożnie palce*) Nasza pani burmistrzowa... (*zwraca się do sędziny*) tak... ha! ha! nasza burmistrzowa!..

(*Stają w kącie z sędziną i szeptają*).

Sędzia.

Winszujemy! winszujemy... to bywa!

Notaryusz

(kłaniając się sztywno, po wojskowemu, krótko)

Najszczerze życzenia.

Doktór.

A! pan inżynier!.. (*przedstawia Jurkiewicza*)
Pan inżynier Jurkiewicz, mój lokator.

Sędzia.

A... a pan nie tutejszy? Hm... to bywa...
Bardzo mnie cieszy!.. Pan buduje nasz wielki
most?

Jurkiewicz.

Zwykły mościk na łańcuchach, Kettenkon-
struktion.

Sielski (wchodzi niepostrzeżenie cicho)

Dobry wieczór!.. Właśnie mówili mi ludzie...
(*z wyrazem najwyższego osłupienia*) Czy to praw-
da? nie chciałem wierzyć.

Doktór (śmiejąc się szczerze)

Ha! ha! te oczy!..

Sielski (zdziwiony, rozglądając się naokoło)

Dobry wieczór! dobry wieczór!..

Wanda (ratując go w sytuacji)

No, niech pan powinszuje ładnie Lolowi...

Sielski (przystępując do doktora)

A więc tak?.. (*podając mu powoli rękę — cicho*) Winszuje.

Doktor (klepiąc go po ramieniu)

Ha! ha! a cóż Wołkowicz? bo jeżeli pan go woli, to ja zrezygnuję.

Wanda (nalewa wódkę)

Doktor (biorąc kieliszek)

W ręce kochanego sędziego (*pije*).

Jurkiewicz (*cicho do Maryi*)

Główkę do góry! niech pani spojrzy naokoło siebie... niech pani spojrzy na nich i nad nimi panuje... tak, bo pani królowa.

Marya.

O! nie tak głośno!.. (*śmiejąc się, czerwona*)
Królowa! jeszcze tego nikt mi nie mówił.

Sędzia (wznosząc kieliszek do góry)

Piękne panie! szanowni panowie!..

Głosy.

Słuchajcie! słuchajcie!

Sędzia.

Hm!.. hm!.. Nie jestem mówcą... to bywa. Ale możecie mi wierzyć, że to co mówię, płynie z głębi mego... hm... serca. Jestem ze wszystkich tu obecnych najstarszy... ale dziwnie radosne — hm... radosne i wiosenne uczucie ogarnia moją duszę, gdy pomyślę, że to miasto, w którym stała niegdyś moja kolebka... to miasto, które... hm...

(Podczas mowy sędziego kurtyna spada.)

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II-gi.

Ten sam pokój u doktora. Wieczorem, szara godzina. Drzwi od werendy otwarte, widać stół i krzesła na werendzie. Z daleka czerwone i zielone światła z kolei. Pokój w większym porządku niż w pierwszym akcie, upiękaszony gdzieniegdzie kwiatami.

SCENA I.

Wanda — Robotnik.

(Wanda stoi przy kredensie. Przez chwilę słyszeć tylko bardzo cichy, drgający dźwięk elektrycznego sygnału z dworca. Nagle ukazuje się w drzwiach werendy robotnik w mundurze kolejowym, w płaszczu zarzuconym na plecy i czapkę w ręku.)

Wanda (odwracając się)

Co tam?

Robotnik.

To ja, proszę pani, Szymon, robotnik z kolei.

Wanda.

Czego chcecie? Jak się ma wasza żona?

Robotnik.

Trapi się... bardzo się boi, dlatego, że pan doktor nie był przez dwa tygodnie.

Wanda.

Nie mógł być, bo wyjechał.

Robotnik.

A ona myśli, że chyba nie ma dla niej ratunku, kiedy już i pan doktor nas opuścił.

Wanda.

Niech się uspokoi. Pan doktor nie mógł przyjść do niej, bo dopiero dziś wrócił.

Robotnik.

Powiem, dziękuję panience, powiem.

(Wchodzi Sielski.)

Wanda *(ucieszona)*

A! przecie raz!.. *(do robotnika, który całuje ją w rękę)* Bądźcie zdrowi! *(podaje Sielskiemu rękę)*
Czy pan już całkiem o nas zapomniał?

(Robotnik wychodzi.)

SCENA II.

Wanda — Sielski.

Sielski *(unikając jej wzroku)*

Nie chciałem się naprzykrzać. Mam tylko pomówić z panią doktorową o Antosiu. Jej nie ma?

Wanda.

Jest; niech pan chwilę spocznie... niech pan się nie boi...

Sielski (J. w.)

Ja chciałem tylko zobaczyć się z panią Maryą.

Wanda (śmiejąc się)

Dobrze, nie ze mną, wiem.

Sielski.

Ja tak nie myślałem. Pani Marya poleciła mi raz, żeby jej donosić, jak Antek sprawuje się w szkole.

Wanda.

Co słychać?

Sielski (wzdycha)

Nic. *(po chwili)* A u państwa? Zdaje mi się, że od kilku dni bardzo dobrze.

Wanda.

Dlaczego?

Sielski.

Bo nie raz słyszę wesołe głosy z ogrodu. Od kilku dni pani Marya śmieje się i śpiewa.

Wanda.

Od kilku dni?

Sielski.

Bo dawniej...

Wanda.

Nie wiedziałam, że pan robi takie studia.

Sielski.

Nie; ja się tylko cieszę, jak ludzie szczęśliwi.

Wanda.

I pan sądzi, że... Dlaczego dopiero teraz?

Sielski.

Ja nic nie wiem... Ja wogóle więcej czuję niż wiem.

Wanda.

Ale niech pan mówi...

Sielski.

Prawie się boję... To są rzeczy tak delikatne, że człowiek boi się je wymówić... Tylko czuję, że ona musi być teraz szczęśliwą.

Wanda.

Czy pan o tem wątpił?

Sielski.

Nie... nie... tylko widzi pani... ona potrzebuje dużo słońca... to taka istota... dużo ciepła, a dotychczas...

Wanda.

Co?

Sielski.

Bo doktor dotychczas rozdawał się ludziom... Nigdy nie był w domu... ja to widziałem... I myślę, że teraz zaszła w nim pewnie jakaś wielka zmiana.

Wanda.

Może w tem co pan mówi jest trochę prawdy... ale o jakiej pan mówi zmianie?

Sielski (tryumfująco)

Ja tu u państwa już dawno nie byłem. Ale dosyć spojrzeć na dom... choćby tylko zdaleka... wieczorem. To jak twarz ludzka... dom jest wesół albo smutny. Dotychczas ten dom co wieczór był ciemny, a teraz od kilku dni... może od dziesięciu... świecą się zawsze okna.

Wanda.

Od dziesięciu...

Sielski.

Ja przecież widzę. Ale to nie dosyć, ja widziałem więcej. Wczoraj wieczór przechodząc pod oknami, widziałem... nie wiem, czy mogę pani powiedzieć... Okno było wprawdzie zasłonięte białą firanką, ale cienie... (*śmieje się cicho*) cienie się widzi... Zobaczyłem doktora i ją...

Wanda (niedowierzająco)

Wczoraj?..

Sielski.

Ja widziałem wyraźnie (*wstaje*) ot tak... tu stał mężczyzna... a ona tu... W tej grupie dwójga szczęśliwych ludzi było tyle piękności, tyle...

Wanda (przerywając mu żywo)

Ależ panie... wczoraj...

Sielski (trochę zdziwiony)

Co?.. widziałem z pewnością. (*Wanda patrzy chwilę na niego; nagle widać, że wpada jej coś na myśl, jakieś podejrzenie czy przeczucie, milcząc odwraca się, żeby ukryć pomieszanie.*) Ale może... (*milknie*) Niech mi pani daruje, że się wtrącam w nie swoje rzeczy... (*Wanda stoi nieruchoma z twarzą zwróconą ku oknu.*) Przepraszam... przyszedłem tylko dla tego, że Antoś...

Wanda (odwracając się)

Co Antoś?

Sielski (nieśmiało, zmieszany zachowaniem się Wandy)

Zdaje mi się, że to dziecko od pewnego czasu mniej się uczy. Wczoraj nie był na nauce religii. Nie chcę skarżyć... tylko boję się, czy nie chory, albo...

Wanda.

Nie... to jest... może... trochę niezdrows. Ja się do niego wezmę... ja sama. Niech pan nic nie mówi Lolowi, bo on taki surowy... strasznie surowy... a Marynia jest bardzo zajęta. (*z uśmiechem*) Pan ma do mnie zaufanie?

Sielski.

Zupełne, rozumie się...

SCENA III.

Ciż — Doktor.

Doktor (wchodzi z lewej strony ze swego pokoju)

Kto ma do ciebie zaufanie?.. bo tu tak ciemno, że nic nie widzę (*patrzy podejrzliwie na Sielskiego i Wandę*). Profesor? No, cóż tu za nady? Cóż to państwo tak..? Spałem trzy godziny... do licha!

Wanda (prędko)

Zaraz zapalę lampę.

Doktor.

Po co? Jeżeli nie zapaliłaś dotychczas... Pewnie ktoś się o mnie pytał... słyszałem przez sen...

Wanda (j. w.)

Nikt... nikt... tylko wiesz, ten robotnik z kolei, którego żona słaba.

Doktor.

Szymon?.. Czegóż on chce znowu? Czy tej babie gorzej?

Wanda.

Nie, ale... (*patrząc z ukosa na Sielskiego*) dziwił się, że tak dawno u nich nie byłeś.

Doktór (ironicznie)

Dziwił się? to dobre... *(do Sielskiego, śmiejąc się krótko)* Jak mię tu kochają, co? Nie wolno mi się ztąd ruszyć nawet na dwa tygodnie. Dzisiaj wróciłem, a już siedm osób na mnie czatuje.

Sielski (zdziwiony, cicho)

Pan tu nie był?.. pan dopiero dzisiaj wrócił?

Doktór.

Pan nic nie wie? Pana nic nie zajmuje, co się u nas dzieje?

Sielski (j. w.)

Dzisiaj... *(Wanda staje naprzeciw niego, tak że doktor nie widzi, i patrzy mu w oczy; Sielskiemu chodzą widocznie „cienie w oknie” po głowie, ale rozumiejąc instynktowo Wandę, zmieszany milczy).*

Doktór.

Pan chce osuszać łzy ludzkie... a właściwie ci ludzie są panu strasznie obojętni. Niech pan raz uczciwie się przyzna!.. Dlaczego ja wiem, co się dzieje w każdym domu w mieście, a pan nie? Czy pan naprzykład wie, co nowego w pańskiej szkole?

Sielski.

O! co się tyczy szkoły...

Doktór.

No, no... ile dzieci ma pański kolega Rzemień?

Sielski.

Troje.

Doktór.

A widzi pan, że nieprawda, bo dzisiaj przyszło na świat czwarte. Ja tu nie byłem przez dwa tygodnie a wiem... (*patrzy na zegarek*). Zresztą ja wiem i o panu ciekawe rzeczy.

Sielski.

O mnie?

Doktór.

Tak, tak... jeszcze o tem pogadamy... przy sposobności... hm!.. Na razie idę do tych kolejarzy.

Wanda.

Teraz? mógłbyś sobie dzisiaj wypocząć.

Doktór.

Do licha, z tem wypoczywaniem... To zresztą niedaleko, kilka kroków.

Sielski.

Ja także już muszę... (*zbliża się do Wandy*).

Doktór.

Więc idziemy razem...

Wanda (*podając Sielskiemu rękę*)

Do widzenia! (*słychać śmiech Maryi*).

SCENA IV.

Ciż — Marya.

Marya

(ubrana o wiele staranniej niż w akcie pierwszym, wchodzi zarumieniona, zanosząc się od śmiechu)

Ha! ha! ha!

Doktór.

No?.. no?..

Marya.

Nic... ha! ha! Jur... kie...

Doktór.

No, co?

Marya.

Jurkiewicz wlażł na drzewo... ha! ha!

Doktór (biorąc ją pod brodę)

To strasznie śmieszne!.. okropnie...

Marya (ocierając sobie łzy)

Bo Antoś rzucił balon na drzewo... i najpierw próbowaliśmy laską, a potem... ha! ha! ha!..

Doktór.

Skończysz jak wróce, teraz nie mam czasu. Zresztą wolałabyś uważać na tego bębna, żeby się uczył. Przez ten czas, co mnie nie było, pe-

wnie strasznie się rozpuścił. Już ja się do niego...
A z profesorem się nie przywitasz?

Marya (przez łzy, podając Sielskiemu rękę)

Nie widziałam... Dobry wieczór!

(*Sielski kłania się.*)

Doktór.

Ciekawe zachowanie ma ta kobieta. (*do Sielskiego*) Avanti! avanti! (*wychodzą*).

Marya

(*opiera się na oknie i śmieje się cicho, trzymając chustkę przy oczach*)

Pst!.. (*daje znak ręką do ogrodu*) Ja jestem tu!.. No? (*ogląda się nagle na Wandę, która stała dotychczas z założonemi rękami zdaleka i w tej chwili wychodzi*) Ja nic... ja tylko... (*po odejściu Wandy, przez okno*) Chodź! chodź!

SCENA V.

Marya — Jurkiewicz.

Jurkiewicz (*wchodzi po chwili, otrzepując sobie ubranie*)

Cicho!.. na miłość Boską... co ty robisz?
Czemu się tak śmiejesz i wołasz, i...

Marya (*przystępuje do niego — tęsknie*)

Ach ty...

Jurkiewicz (bojaźliwie, cicho, oglądając się)

Tu był doktor?

Marya.

Był... był... ale poszedł.

Jurkiewicz.

Myślałem sobie... I jeszcze ktoś..?

Marya.

Nikt, nikt... tylko Sielski.

Jurkiewicz.

Ty nic nie uważasz... ani trochę...

Marya (pokornie, z uśmiechem)

Przepraszam...

Jurkiewicz (niespokojnie)

Cóż? doktor nic nie mówił?.. nic nie widział?..

Marya.

Nic, nic...

Jurkiewicz.

Teraz będę miał z twojej winy ciągle... Nic nie uważasz. Czy jeszcze wiesz, co mówiłem do ciebie przed chwilą?

Marya.

Wiem... wiem... (*nagle zapominając się, głośno, radośnie*) Ah! jaka ja szczęśliwa!

Jurkiewicz.

Cicho!.. Pewnie jest Wanda w drugim pokoju, co?

Marya.

Nie, nie... Wiesz, dzisiaj nad ranem, kiedy jeszcze było ciemno, zbudziłam się i... nagle wzięła mnie taka radość, że zaczęłam się śmiać... i pytam się: dlaczego mi tak dobrze? dlaczego mi naraz tak dobrze?.. i przypomniałam sobie wszystko... że ciebie mam i że teraz zawsze tak będzie i... wiesz? moja chustka pachnie tak jak twoja i dlatego...

Jurkiewicz.

Pamiętaj tylko zawsze o tem, że on wrócił; nie zapominaj, że skończyła się już nasza wolność.

Marya.

Dobrze, dobrze. Wiem tylko to, że cię Kocham!.. niech się dzieje co chce. Może tam w ogrodzie już jesień?.. nic nie wiem... a potem niech przyjdzie zima... niech przyjdzie. Ja ciebie Kocham!

Jurkiewicz.

Ja ciebie także... naturalnie. A pamiętaj Maryś, że trzeba nad sobą panować — rozumiesz? bo może być źle.

Marya.

Rozumiem... Ale może nie mów do mnie:
„Maryś“.

Jurkiewicz.

Jak chcesz. Nie dziw się, że jestem ostrożny. Ty może myślisz, że się boję? ale ja muszę mieć rozum i za ciebie, bo ty jesteś jak we śnie.

Marya.

Dobrze, dobrze. On do mnie mówi „Maryś“, a ty mów tak jak przedtem. Jakiś ty młody!.. kiedy byłeś tak wysoko na drzewie... ha! ha! Tak młody... mój! Ty masz takie małe i delikatne ręce... pokaż.

Jurkiewicz.

Chciałem ci jeszcze powiedzieć, że oczy twoje zanadto się błyszczą — to źle... to robi takie dziwne wrażenie... Wogóle uważaj zawsze na to, jak wyglądasz. Twoja twarz czerwona jak w gorączce... masz inny głos, inne ruchy...

Marya (z naiwną zalotnością)

Czy jestem ładna?

Jurkiewicz.

Bardzo... bardzo... Ale ty nie wiesz, co robisz, co mówisz... On to musi spostrzedz... Nie mam wcale ochoty, żeby był skandal... on jest brutalny. Ja takich rzeczy w ogóle nie cierpię.

Marya.

Nie chmurz się, proszę... uśmiechnij się. Od-
kąd cię mam, nie wiem, co się naokoło mnie
dzieje... nic mnie nie obchodzi... Nie wiem, czy
dzisiaj czwartek czy piątek, nie wiem, czy lato
czy jesień...

Jurkiewicz (zamyślony)

Jesień... jeszcze nie, ale niezadługo. Trzeba
się na to przygotować, że naraz będzie koniec.
Most niezadługo skończę, a potem...

Marya.

Co? co potem...

Jurkiewicz.

No, wiesz, że nikogo tak nie kochałem jak
ciebie, przysięgam, że nikogo!.. Jestem strasznie —
jakby to powiedzieć... no, strasznie miękki... nie
zapomnę cię całe życie!.. (*nagle, mruczając*) Ot,
podałem sobie spodnie na tem nieszczęsnem
drzewie.

Marya.

Ale ty zostaniesz... zostaniesz... My przecie
musimy być razem — my dwoje.

Jurkiewicz.

Tak, hm... naturalnie że na razie... Rozu-
mie się, że zostanę tak długo aż skończę most...

któż za mnie skończy?.. miesiąc... może dłużej...
O tak, bardzo łatwo być może, że nawet tro-
szeczkę dłużej.

Marya.

No cóż? ja się nie boję. Jeżeli odjedziesz,
to ja z tobą, prawda?

Jurkiewicz.

Hm... robi się ciemno... możeby...

Marya.

Jeżeli odjedziesz, to ja z tobą. Cóż ze mną
zrobisz? powiedz, powiedz... Prawda, że ty już
także nie możesz być bezemnie. Ja już nie chcę
żyć tak jak dawniej... ja teraz już nie mogę... te-
raz już się nie dam! Bo ty mi powiedziałeś, że
jestem królowa. *(śmiejąc się cicho i przysuwając
do niego)* A widzisz!.. Pocałuj... no, pocałuj. Te-
raz chcę być zawsze królową.

Jurkiewicz

(całując ją z roztargnieniem i oglądając się niespokojnie)

Gdyby tak wrócił nagle doktor... A tu ciem-
no... Możeby...

Marya.

Albo zostań tylko przez zimę. W zimie zdaje
mi się, że umieram. Ciemno, okna jak mur, nikt
ze mną nie mówi, Karol przyjdzie i pójdzie. „Cóż
Maryś? — Jak się masz Maryś?“ — to wszystko.
Jestem sama i śpię. Jak pójdiesz, to nikt mnie

nie będzie kochał. Zostań przez zimę. Powiedziałeś mi, że jestem ładna, przedtem nikt. Ja ciebie kocham.

Jurkiewicz (J. w.)

Przez zimę? dobrze... dlaczego nie?.. ale mnie słuchaj, szczęście trzeba ukrywać, rozumiesz? Nie śmieć się teraz, tylko słuchaj...

Marya.

Ah! teraz krzyczałabym z radości... nikogo się nie boję! Jeżeli zostaniesz...

Jurkiewicz (nadśłuchuje)

Cicho!.. ktoś... Prędko, zapal... gdzie światło? Ja idę.

Marya.

Czekaj!.. to Wanda.

Jurkiewicz (nerwowo)

Zaraz wrócę... idę do ogrodu (*wychodzi spiesźnie*).

SCENA VI.

Marya — Wanda.

Wanda (*wchodząc*)

Co to? czemu tak ciemno?

Marya.

A nic.

Wanda (zapala lampę i patrzy przelotnie na Maryę)

Ty teraz zawsze w nowej sukni.

Marya.

Ładna, co?

Wanda (obojętnie)

Niezła... (*siada lekko*) Jeszcze nie ma Lola?

Marya.

Nie.

Wanda.

Chwała Bogu, że skończyły się te dwa tygodnie.

Marya.

Dlaczego?

Wanda.

No tak, w ogóle.

Marya.

Powiedz.

Wanda.

Nie lubię, jak nie ma mężczyzny w domu, nieporządek.

Marya (staje przed lustrem)

Mówisz, że niezła? Możeby wziąć do tej sukni biały pasek — jak radzisz? albo taki, jak ma sędzina. (*nagle*) On mówi, że mi w niej dobrze.

Wanda.

Kto?

Marya.

No... Jurkiewicz.

Wanda (ironicznie)

On pewnie zna się na tem jak baba... On
nosi bransoletkę.

Marya.

Ma ładne ręce, prawda?

Wanda.

Nie, nieprawda, Tacy mężczyźni, jak on,
dla mnie wogóle nie istnieją.

Marya.

Dlaczego?

Wanda.

Pajac! Teraz chodzi na palcach... ha! ha!
dlatego, że jest mężczyzna w domu, a nim wrócił
Lolek, to było wszędzie pełno Jurkiewicza; cho-
dził z rękami w kieszeni i gwizdał. Takich pa-
nów lubię!.. (*wstaje*).

Marya (prosząc, miękko)

Nie mów tak, nie mów...

Wanda.

Dlaczego?

Marya

(obejmuje nagle Wandę za szyję i całuje ją prędko)

Bo nie... bo proszę!.. Bo ja teraz wszystkich lubię, bo mnie teraz nie wiedzieć dlaczego tak dobrze na świecie!.. ha! ha! Wandziu, nie patrz się tak zimno, tak brzydko... Ja teraz wszystkich lubię.. wszystkich...

Wanda.

Puść! (*odchodzi od niej; po chwili sucho, cicho, patrząc na nią przenikliwie*) Idź tam do siebie... i obmyj sobie oczy.

Marya.

Po co?

Wanda.

Bo płakałaś... nie wiem dlaczego? I oczy i twarz.

Marya (*śmiejąc się*)

Ja nie płakałam.

Wanda.

Nie?... przepraszam... może... bo masz coś takiego w oczach i twarzy... (*po chwili*) Gdzie Antoś?

Marya.

Nie wiem.

Wanda.

Jakto nie wiesz? Był Sielski i skarżył się, że on się nic nie uczy. Gdzie Antoś?

Marya (lekko)

Pewnie jest w ogrodzie.

Wanda (niecierpliwie)

Pewnie. Ty teraz nic nie wiesz!.. (*odwraca się*).

SCENA VII.

Też — Doktor.

Doktor (wchodząc patrzy raz na Wandę, raz na Maryę)

No?

Wanda (nagle bardzo żywo, sztucznie, lekko)

Jak się masz? Cóż, byłeś u Szymonowej?
Jakże tam? Ale teraz już nigdzie nie pójdziesz, co?

Doktor.

Nigdzie nie pójde. Słuchaj Wanda, co ty
masz z Sielskim?

Wanda.

Jakto? nie rozumiem.

Doktor.

Moja panno, mnie się nie odpowiada żadnem
„jakto“ ani „nie rozumiem“, bo ja tego nie lubię.
Co wy za ciekawe figury?.. Mówię z tym Siel-
skim uczciwie, po mężku, a on...

Wanda (czerwieniąc się)

Co z nim mówiłeś? jakim prawem?

Doktor.

Oho! prawem... prawem takim, że jesteś u mnie w domu, rozumiesz?.. i że ja jestem twój opiekun. Ja lubię jasną sytuację?

Wanda.

Więc pewnie mówiła ci Marynia, że on mi się oświadczył.

Doktor.

Otóż właśnie! Co ty mu odpowiedziałaś?

Wanda (przez zęby)

Pewnie i to mówiła ci Marynia?

Doktor (szorstko)

Ja teraz mówię z tobą.

Wanda (rozdrażniona)

A więc uspokój się... nie wezmę go, nie. Jest mi zupełnie obojętny... całkiem.

Doktor (ze złością)

Dziewczyno, jak będziesz mówiła ze mną takim tonem, to nie wiem, co zrobię...

Wanda (j. w., biorąc się za głowę)

A, Boże! Boże!

Doktór.

Czy i ty płaczesz? bo ten twój pedagog płakał.

Wanda.

Co?

Doktór.

Już dla tego samego nie dałbym mu ciebie. Ja z nim otwarcie, poprostu... a ta baba. Nie rozumiem.

Marya.

A ja rozumiem. Jeśli się kogoś tak okropnie kocha, to...

Doktór (ironicznie)

Ty się także mieszasz? Co ty wiesz?..

Wanda.

Ja ci tylko powiem to jedno, że on pewnie już nigdy do nas nie przyjdzie.

Doktór.

No i cóż?.. jeżeli się obraził, to ja go nie będę przepraszać. Zresztą nie bój się. A propos... dzisiaj przyjdzie sędzia z żoną. Zaprosiłem ich, żeby skosztowali tego wina, które dostałem od Siekierskich; trochę lepsze niż ta ich trucizna.

Marya.

Sędzina pytała się już wczoraj czy nie wrócisz?

Doktór.

Może znowu słaba?

Wanda.

Mniej więcej tak jak zawsze.

Marya (śmiejąc się)

Nie mogła doczekać się ciebie.

Doktór.

Tak? Marynia dowcipna, patrzcie!

Wanda.

Czy jeszcze ktoś przyjdzie?

Doktór.

Ja w ogóle nie zapraszałem na żadne kolacye; jeśli chcą, niech przyjdą.

Wanda.

Bo chciałabym wiedzieć ile nakryć.

Doktór.

Może przyjdzie Kosicki, bo on zawsze z nimi. No, zresztą, naturalnie Jurkiewicz. Co on robi?

Wanda (wzrusza ramionami)

Spaceruje po domu.

Doktór (ironicznie)

Zresztą nic?

Marya.

O! przecie jego nigdy nie ma.

Wanda.

Cztery... dwa... siedm... (*nakrywa*).

(*pauza*)

Doktór.

No cóż Maryś?

Marya.

Nic. Jurkiewicza nigdy nie ma.

Doktór.

Wiem, wiem. A co było nowego w domu?

Marya (*machinalnie*)

No nic...

(*Wanda wychodzi.*)

SCENA VII

Marya — Doktór.

Doktór.

Czemu tak zdaleka?

Marya (*J. w. — zbliża się pomału*)

No nic.

Doktór.

Dzieci zdrowe?

Marya.

Zdrowe.

Doktór.

Antek się uczył?

Marya.

Uczył.

Doktór (bierze ją za rękę)

Pokaż się!.. (*patrzy na nią*) Jeszcze ciebie
nawet dobrze nie widziałem.

Marya (*patrząc na swą suknię*)

To moja zwykła.

Doktór (*obejmując ją*)

Co twoja zwykła?

Marya (*j. w.*)

Suknia.

Doktór.

Masz takie ciemne oczy — dlaczego?

Marya.

Nie wiem.

Doktór.

Wiesz, jak teraz wyglądasz? tak jak wtedy
w Krakowie, pamiętasz, kiedy miałaś szesnaście lat.

Marya (*w roztargnieniu*)

Jurkiewicz powiedział, że za miesiąc skoń-
czy most.

Doktór.

Tak? Co ty robiłaś, jak mnie nie było?

Marya (j. w.)

No nic... On mię zaprowadził raz do tego mostu.

Doktór.

Czemu się odsuwasz? popatrz na mnie.

Marya.

Ja patrzę.

Doktór (przyciąga ją do siebie)

Podobasz mi się.

Marya (opierając się)

Proszę... proszę!..

Doktór.

No cóż?

Marya.

Zmieła mi się suknia.

Doktór.

Niech ją dyabli wezmą! O czem myślisz? popatrz na mnie.

Marya.

Ja patrzę.

Doktór (na pół żartem, na pół namiętnie)

Nie, nie!.. (*chce ją pocałować*).

Marya

(wyrывая się, w krótkich odstępach — cicho, z wyrazem obrzydzenia w twarzy)

Proszę... proszę...

Doktór.

Ah! tak?.. grymasy?.. cóż to znaczy?

Marya.

Nic.

Doktór.

Już ja cię tego oduczę... Ja z tobą delikatanie, po dobremu, a ty... (*ściska jej rękę*).

Marya.

Puść!.. to boli...

Doktór.

Boli?.. to dobrze. Jak się odemnie odwracasz, kiedy cię kocham, to niech boli... (*przyciąga ją znowu do siebie*). No cóż?

Marya (*syknęła z bólu*)

Ach ty...

Doktór.

A widzisz! jak ty ze mną, tak ja z tobą. Kiedy wjechałem dziś rano na dziedziniec, to mię psy opadły i lizały moje ręce. Gdyby mnie nie

lizają, tylko na mnie czekały, to spraliby je
batem — rozumiesz?

Marya (odwracając głowę)

Ty...

Doktor.

Wszystko jedno; człowiek ma na to żonę,
żeby... Ja ci pokażę, że na takie dzieciństwa nie
zważam. Jestem w niełasce, co? ha! ha! to do-
bre! Myślisz, że nie dam sobie rady? (*bierze jej
głowę w swoje ręce i zbliża do siebie*). Do kroć-
set!.. żeby wiedzieć, co siedzi w takich ślepiach..
w takich zamglonych, ciemnych... żeby wiedzieć
gdzie ty jesteś... Cóż, dam sobie radę? Wszyst-
ko jedno, czy mię teraz lubisz czy nie lubisz...
teraz musisz, bo ja chcę... (*przysuwa przemocą jej
usta do swoich*) bo ja chcę.

Marya (wyrывая się)

Proszę... proszę...

SCENA VIII. 18

Ciż — Sędzina — Sędzia — potem Wanda i Kasia.

Sędzina (wchodząc)

Ha! ha! ha!

Sędzia.

O! o!

Doktór.

Dobry wieczór! Proszę!..

Sędzina (stając)

Drogi mężu, wracajmy do domu!

Doktór.

E, co pani mówi?.. jakto?

Sędzia (spoglądając pobłażliwie na doktora i Maryę)

Nie widzieli się dwa tygodnie, więc... to bywa.

Sędzina.

Bywa... ale nie po tylu latach małżeństwa. *(podaje Maryi rękę)* Dlaczego pani nie dała się pocałować? *(Marya się śmieje zakłopotana; sędzina patrząc na nią przez lornetkę)* O! bardzo miłutko się śmieje... bardzo przyjemnie... *(do Wandy, która wchodzi z butelkami)* Jak się masz, dziecko?

Wanda.

Dobry wieczór. *(za nią wchodzi Kasia, która stawia na stole półmiski, poczem odchodzi)*

Doktór.

Moi państwo, siadajmy.

SCENA IX.

Ciż — Kosicki — potem Jurkiewicz.

Kosicki (wchodzi)

Przepraszam... nie wiedziałem, że tu tyle osób.

Doktór.

Nie rób pan żadnych historyi, tylko chodź! Słowo daję, że na pana czekałem. Pan tak uczciwie pachnie apteką... stęskniłem się...

Sędzia.

Dajcie pokój... tęsknić za czemś takim...
(siadają)

Sędzina.

Chodź, uczciwa apteko, bo nie mogę dōczekać się tego wina.

Kosicki.

Za mną idzie Jurkiewicz.

Doktór.

Tak? (idzie do drzwi) Gdzież on jest? czemu tak pomału idzie? (wychodzi na werendę)

Sędzia.

Ten burmistrz nie ma spokoju... On nie umie wogóle siedzieć.

Wanda.

Nie umie.

Kosicki.

Jurkiewicz nie może przyjść tak prędko, bo idzie z dystynkcyą.

Wanda.

Ha! ha!

Sędzina (do Maryi)

Czy mąż pani kocha się także w Jurkiewiczzu?

Wanda.

A któż zresztą się kocha?

Sędzina.

On przecież bardzo ładny. Nie?... (*patrzy przelotnie na Maryę*) ha! ha! ha!

Doktor

(witając się z trochę sztuczną serdecznością z Jurkiewiczem)

Gdzież pan spaceruje po nocy?.. Proszę!.. czekamy!..

Marya

(wstaje i mówi trochę za głośno i za radośnie)

Czekamy!..

Jurkiewicz

(udając, że nie słyszy Maryi, bardzo grzecznie do doktora)

Pan burmistrz się wyspał!.. — ślicznie! Zdaje mi się, że pan doktor wygląda znacznie... znacznie lepiej, niż przed podróżą.

Doktór (patrząc na Maryę, sucho)

Daj pan pokój, ja zawsze dobrze wyglądam.

Kosicki.

Chodź, Staszek.

Sędzina (półgłosem, żartem)

Chodź Staszek!..

Marya (t. s.)

Chodź Sta... (*naraz miesza się i milknie*)

Sędzina (patrząc na nią szybko z uśmiechem)

No?

Marya.

Ha! ha.. (*nagle woła za głośno jak przedtem, do Jurkiewicza*) Koło mnie jest wolne miejsce... (*Jurkiewicz widocznie zmieszany chwilę się waha; wreszcie siada obok niej*) Tak, dobrze... (*przysuwa się do niego i zaczyna coś do niego szeptać, on słucha z nerwowem rozstargnieniem*)

Doktór (prawie ostro)

Maryś!..

Marya (drgnęła)

Co?

Doktór (j. w.)

Uważajże trochę na gości... Podaj pani sędzinie.

Sędzina (uspokajając go ironicznie)

No, no!.. *(do Maryi)* Ja panią strasznie lubię... Ja panią teraz poprostu odkryłam. Prawda, że pani przechodziła przedwczoraj wieczór koło naszego domu?

Marya (zmieszana)

Tak... może...

Sędzina (patrząc na nią znowu przez lornetkę)

Albo teraz jak się nagle rumieni... co? charmante! bez powodu, jak panienka!.. très gentile!.. Pani przechodziła koło naszego domu i szczebiotała i śmiała się jak ptaszek... Z kim pani szła?

Marya (cicho, niewyraźnie)

Z panem Jurkiewiczem.

Sędzina (głośno)

Z kim?.. *(nachyla się ku niej)*

Jurkiewicz (do doktora prędko, aby zagadać)

Pan burmistrz jechał koleją, czy końmi?

Doktor (z roztargnieniem patrząc na sędzinę i Maryę)

Tak... tak... koleją... to znaczy... o co pan się pyta? *(zrywa się, nagle szorstko do Maryi)* Ty nic nie widzisz!.. *(kiedy Marya przestraszona chce nalać wina swej sąsiadce, wyrywa jej butelkę z ręki — cicho)* Gdzie patrzysz? o czym myślisz? *(nalewa)* No, cóż wino?

Jurkiewicz (b. prędko)

Doskonale! świetne!

Doktor.

Pan wszystko zachwala. No a sędzia?

Sędzia (z pobłażliwym uśmiechem)

Wcale tego...

Sędzina (zmęczonym głosem)

Potrzebuję pewnej dozy alkoholu. Wiem, że mi to szkodzi, prawda doktorze? — ale bez tego umarłabym zaraz.

Marya (do Jurkiewicza)

Gdzie pan był?.. dlaczego pan nagle wyszedł z domu i chodził gdzieś... ja nie wiem gdzie?

Sędzina.

O! pani strasznie surowa z panem Jurkiewiczem.

Jurkiewicz (nerwowo do Maryi)

Co pani mówiła?.. gdzie byłem?.. Miałem pilne rzeczy do załatwienia. (*zwraca się do doktora*) Pan burmistrz przepędził przyjemnie te dwa tygodnie?

Doktor (patrząc na niego z ukosa)

A tak... przyjemnie... przyjemnie... Dlaczego pan mi stawia zawsze takie pytania, jakby pan bawił dorastającą dziewczkę w salonie?

Jurkiewicz (zmieszany)

He! he! to dobre!.. Nie, jestem tylko ciekaw, czy ten zjazd lekarski był zajmujący?

Doktor (śmiejąc się ironicznie)

Bardzo!.. Przez kilka godzin słuchać tyle mądrości... wolę pięć ciężkich operacji.

Sędzina.

Brr!.. Doktorowi świecą się aż oczy, kiedy mówi: „pięć ciężkich operacji“... — jak tygrys!

Sędzia.

Któż tam był na zjeździe?

Doktor.

No, wszyscy nasi wielcy, — kto pan chcesz. Możesz pan sobie pomyśleć jaką rolę odgrywa przytem taki biedaczek z prowincyi. Byli także moi dawni koledzy z Krakowa, między innymi ten mały Pałeczki. Trzeba mieć szczęście! Pociwina przelazł zaledwie przez rygorosa... a teraz jest profesorem uniwersytetu. Ha! ha! chce nawet zaopiekować się moim losem.

Wanda.

Jakto?

Doktor.

No, on i inni namawiają mnie, żebym się przeniósł do Lwowa; żeby, uważacie państwo coś mądrego napisać, starać się o profesurę...

Wanda (żywo)

No i cóż?

Jurkiewicz.

Jestem pewny, że gdyby tylko pan burmistrz zechciał...

Doktór (ironicznie)

Tak łaskawy pan myśli?.. gdybym zechciał?

Sędzia.

W imię Ojca i Syna!.. Protestuję jako obywatel tego miasta. My pana nie puścimy.

Doktór.

Ot, gadanie... gdzież ja bym mógł teraz?.. trochę za późno! Przecież człowiek z wiekiem głupieje. Ja potrzebuję ich dobrej rady!.. (*ciszej*) tak jak bym sam o tem nie... hm... (*milknie — po chwili do Jurkiewicza*) Czy pan myśli, że mnie tu źle? czy pan uważa, że mój los jest godny politowania?

Jurkiewicz.

Ależ przeciwnie, ja tylko...

Sędzia.

I nam z panem dobrze... nie może być lepiej!.. Daj pysia, kochany burmistrzu. W twoje ręce! Oni panu poprostu zazdroszczą — to bywa!.. Pan tu jesteś naszym tego... królem... A cóż tam znaczy taki profesorek?.. No nic?

Wanda (uporczywie)

Zresztą, gdybyś zechciał.

Doktór.

Ale ja nie chcę. Po co? to nie dla wszystkich, tam są miejsca zarezerwowane dla takich Pańskich.

Sędzia.

W ogóle wielkie miasta to dobre dla hołoty; porządny człowiek nie ciśnie się, nie rozbija, (z *emfazą*) rezyduje samotnie, zdaleka od tłumu.

Wanda (z lekką ironią)

Ty rezydujesz samotnie, Lolek?

Doktór (nieszczercze)

Ja jestem niewymagający, mnie wystarcza to, co mam. Przytem grono prawdziwych przyjaciół...

Sędzina.

Kochająca żona.

Wanda.

Dałabym majątek, żeby wiedzieć czy ten człowiek mówi prawdę?

Doktór (sztucznie, lekko)

Kochająca żono, jak skończysz mówić z panem Jurkiewiczem, to podaj nam cygara.

Jurkiewicz (zrywając się)

Proszę... tu... cygara... tu... cygara...

Doktór.

O! pan się trudzi.

Sędzina.

Nie wiem, co to jest, ale naszemu doktorowi podróże widocznie nie służą.

Doktór.

Dlaczego?

Sędzina.

Pan mówi dzisiaj ciągle jakimś nieprzyjemnym tonem.

Doktór.

Ja? to ciekawe.

Marya (do Jurkiewicza, żywo, głośno)

Niech pan weźmie ten kawałek... ja panu sama dam.

Jurkiewicz (zmieszany)

Nie, dziękuję... dziękuję...

Marya (j. w. tak, że zwraca na siebie uwagę)

Bo inaczej nie będę nic jadła, (*śmiejąc się, kładzie nóż i widelec na talerzu*) tak.

Jurkiewicz (j. w.)

O! co pani robi... *(bierze prędko, rozglądając się naokoło z pewną trwogą)*

Sędzina

do doktora, który patrzył się przez chwilę przenikliwie na Jurkiewicza i Maryę)

Pańska żona jest teraz taka miła i wesoła, że jej aż zazdroszczę.

Marya (j. w. podnosząc kieliszek — do Jurkiewicza)

Ze mną... proszę, ze mną...

Jurkiewicz (odwraca się, udając że nie słyszy)

Odkąd tu jestem... przez całe lato, nie czytałem ani razu gazety... to tak przyjemnie...

Sędzina (chcąc zwrócić jego uwagę na Maryę)

Czy pan nie słyszy?

Kosicki.

Jurkiewicz zasiedziałby się u nas z łatwością; jemu małe miasteczko do twarzy.

Doktor (z lekką ironią)

Gdzież tam! człowiek ze świata, europejczyk.

Jurkiewicz.

Nie, rzeczywiście... kto wie?

Marya (głośniej)

Panie!.. panie!..

Kosicki.

On lubi siedzieć w tak zwanem cieple rodzin-
nem, to jego zwyczaj.

Marya (ciągnie Jurkiewicza za rękaw)

Ze mną.

Jurkiewicz (prędko, udając, że dopiero teraz spostrzegł)

A! (*trącają się*)

Marya (śmiejąc się)

Nie, tak się nie robi.

Jurkiewicz (b. zmieszany, śmiejąc się sztucznie)

Teraz dobrze, co? (*trąca się niezgrabnie, spo-
glądając wściekłym wzrokiem na Maryę*) Teraz
dobrze?..

Marya (stawia nagle ze stukiem swój kieliszek, nadąsana)

Nie, tak niedobrze.

(*pauza*)

Doktór (nerwowo)

Dlaczego państwo nie piją? Sędzio!.. (*wpa-
truje się mimowoli w Maryę*)

Sędzia.

Owszem... owszem... ja i tak mam trochę tu...

Kosicki.

To z mojej strony lekkomyślność... o ósmej muszę być jutro w aptece, a potrzebuję dziewięć godzin snu.

Sędzina.

To ma pan czas do jedenastej.

Marya.

My wiemy zawsze która godzina podług pociągów; o jedenastej słyszy się jak gwizdże kurier.

Sędzia.

On jedzie na południe.

Marya.

Tak... daleko... Budzę się zawsze, kiedy gwizdże w nocy.

Kosicki.

To nieprzyjemnie.

Marya.

Ja bardzo lubię. Myślę sobie zawsze, że pojechałabym w daleką podróż... w bardzo daleką... Jechałabym tak długo, jak idzie kolej.

Kosicki.

Tak mniej więcej do równika, co?

Marya.

Ja za tem tęsknię, odkąd tu jestem.

Sędzia.

To bywa. Kobiety zawsze za czemś tęsknią.

Doktor (który się patrzył ciągle na Maryę)

Maryś!..

Sędzina.

Czego pan chce znowu od żony?

Doktor.

Maryś, ja pojedę z tobą kiedyś tym kurьерem o jedenastej w daleką podróż.

Sędzina.

A! patrzcie!

Marya

(nie zważając na doktora, schyla głowę i patrzy się z uśmiechem, przybliżając w oczy Jurkiewicza)

Tak daleko... na południe, gdzie jest tak ciepło... i gdzie tak pachnie, i gdzie takie niebieskie niebo... daleko...

Doktor (gwałtownie — cicho)

Maryś!..

Marya (jakby budząc się ze snu)

Co?

Sędzina.

Nic, nic... tylko doktor się gniewa, że pani nie chce z nim jechać.

Doktor

(po pewnej walce z sobą, cicho, z dziwnym uśmiechem)

Ha!.. jeśli nie chce... (*pauza*) Proszę, pijcie państwo!

Marya (do Jurkiewicza)

Pan się na mnie gniewa. Panie, ja tego nie lubię!

Doktor (sarkastycznie, rozdrażniony)

Niechże pan powie, dlaczego pan się gniewa?

Jurkiewicz (zmieszany)

Ależ panie burmistrzu...

Doktor (j. w.)

A więc pan się nie gniewa?.. Chwała Bogu!

Wanda (cicho)

Lolek!

Jurkiewicz (j. w.)

Pani się tylko zdawało... z pewnością..

Doktor (j. w.)

Ah! to dobrze, bo byłbym w rozpacz, gdyby pan się gniewał. (*pauza*) Proszę pić... proszę...

Sędzia (chrząkając)

Hm... hm... dziękuję.

Kosicki (t. s.)

Hm... dziękuję... zresztą późno...

Sędzia.

Tak... hm... Trzeba będzie powoli...

Doktór.

Cóż to znaczy? co? dlaczego? Ot, widzi pan, nie chcą pić... dlatego, że pan się gniewa. Wszystkiemu pan winien.

Wanda (j. w.)

Proszę cię, Lolek!

Jurkiewicz (po chwili, z ostatnim wysiłkiem energii)

Ah! przepraszam, jeżeli jestem smutny... ale tu się mówiło o pięknych podróżach... a mnie aż serce się kraje... bo chciałbym sam kiedyś...

Doktór (pije, oczy mu się śwlecą)

Tak? proszę!.. a dlaczegoż pan nie podróżuje? Gdybym był na pańskim miejscu, to nie siedziałbym w tej podłej dziurze; słowo daję! To dobre dla mnie, dla Kosickiego...

Kosicki.

Oho!

Doktór.

...e tutti quanti, ale nie dla europejczyka...
ha! ha! ha!

Jurkiewicz (j. w. — błędąc)

Hm... pan burmistrz żartuje.

Doktór.

Myśli pan?.. Jestem taki jowialny osioł z ma-
łego miasteczka... co? (*śmieje się cicho*) Natural-
nie, kompletny osioł!..

Jurkiewicz (j. w.)

Panie burmistrzu, naprawdę... nie rozumiem...

Wanda (*nagle, wstaje*)

Proponuję, żebyśmy przeszli na werendę.

Doktór (*nie zważając, do Jurkiewicza głośno*)

Czy pan nie myśli, że mógłbym zostać euro-
pejczykiem?.. co? bo może to nie każdy potrafi, hę?

Jurkiewicz (*bardzo niespokojny*)

Przecież jesteśmy wszyscy...

Wanda (*nerwowo*)

Chodźmy na werendę, bo tu duszno.

(*Wszyscy wstają*)

Doktór (*do Jurkiewicza*)

Może jeszcze ze mną kieliszeczek?

Jurkiewicz (j. w.)

Dziękuję... nie.

Doktór.

Ej?..

Jurkiewicz (j. w.)

Nie, nie, rzeczywiście. *(Wszyscy przechodzą na werendę; ostatni są Jurkiewicz i Marya i chwilę są sami w pokoju. — Doktor u progu werendy ogląda się szybko raz za nimi).*

SCENA XI.

Marya — Jurkiewicz.

Marya (dotyka się ramienia Jurkiewicza)

Ja ciebie kocham... kocham... ja za tobą tęsknię.

Jurkiewicz (rozdrażniony)

Co robisz? on się teraz patrzył... wszystko widzi... zazdrosny...

Marya (tęsknie)

Nie gniewaj się... Przy stole wstrzymywałam się cały czas, żeby nie krzyknąć głośno, że cię kocham...

Jurkiewicz (biorąc się za głowę)

Boże! Boże!

Marya.

Co tobie?

Jurkiewicz (wyrываяc się, rozpaczliwym głosem)

Idź, idź, proszę, zaklinam cię, idź!.. zostaw
mię tu chwilę samego... Tam są wszyscy... Idź!
(*Marya idzie z pewnem wahaniem. — Jurkiewicz
sam na scenie siada na krześle, schyla głowę i za-
krywa twarz rękami*).

SCENA XII,

Jurkiewicz—Kosicki.

Kosicki (stąpając cicho, z kapeluszem w ręku)

Ja uważasz, po angielsku... do domciu... Ser-
vus! (*u progu zatrzymuje się nagle, patrząc na
Jurkiewicza*) Servus! (*przystępuje do niego*) Co
to?.. głowa?

Jurkiewicz.

Słuchaj... ja uciekam...

Kosicki.

Co?

Jurkiewicz.

Uciekam... jadę!

Kosicki.

Zaraz?

Jurkiewicz (z dziwnym uśmiechem)

Ty przecież czujesz, co się dzieje?

Kosicki (patrzy chwilę badawczo na Jurkiewicza)

Hm... dotychczas miałem tylko pewne przypuszczenia...

Jurkiewicz.

Ale teraz jesteś pewny, co?.. (*śmieje się gniewnie, krótko*) Ona tak się zachowuje, że każdy musi widzieć, każdy. (*wstaje*) Ha! nie ma rady!.. (*patrzy na zegarek*) Most nieskończony... ale ja nie mogę... niech go dyabli skończą! — uciekam!..

Kosicki.

Hm... czekaj... zastanów się...

Jurkiewicz (cicho, drżącym ze wzruszenia głosem)

Ja nie chcę skandalu, nie chcę!.. Zawsze żyłem spokojnie... a ona mię zgubi... Ona jest dziecko. Znam przecież kobiety... Ale to katastrofa... nie chcę!..

Kosicki.

A ja cię przestrzegałem... Nie gniewaj się, ale to było głupstwo.

Jurkiewicz.

Może... może... Powinien byłem trzymać się mojej zasady: tylko z kobietami z dobrego towarzystwa. We wszystkim główna rzecz formy.

Kosicki.

Teraz zapóźno...

Jurkiewicz.

Zapóźno!

Kosicki (oglądając się)

Pst! servus! (Odchodzi jak przyszedł, stępując cicho, przez drzwi z prawej strony. Jurkiewicz chwilę stoi nieruchomy, w głębokiej zadumie, wreszcie widząc że wchodzi: doktor i sędzina, znika temi samemi drzwiami, co przed chwilą Kosicki).

SCENA XIII

Sędzina — Doktor.

Sędzina (kładąc kapelusz i rękawiczki)

Niech pan się nie trudzi.. pańskie komplemента uważam za wynik alkoholicznego podniecenia.

Doktor.

Bardzo mi przykro.

Sędzina.

Zresztą idziemy do domu.

Doktor.

Już?.. dlaczego?

Sędzina.

Przecież pan wie, że jestem chora kobieta.
A na koniec coś panu przypomnę.

Doktór.

Słucham.

Sędzina (cicho)

Kiedyż to było? Piątego marca popołudniu
w pokoju ordynacyjnym u pana.

Doktór.

Co to znaczy?

Sędzina.

Dla pana zapewne nic nie znaczy, ale ja pamiętam... bo to dzień, w którym doznałam największego upokorzenia w życiu.

Doktór.

A!..

Sędzina.

Widzę, że i pan sobie przypomina... to ładnie! O! mój mąż już się żegna z paniami... Ciekawam tylko jednej rzeczy.

Doktór.

Słucham.

Sędzina.

Czy dzisiaj... (woła na werendę) Zaraz! (do doktora, cicho, z uśmiechem, drżącym głosem) Czy

dzisiaj dostałabym od pana taką samą odprawę,
jak wtenczas?.. Zdaje mi się, że teraz byłby pan
inny...

Doktór.

Dlaczego?

Sędzina (j. w.)

Żeby się zemścić.

Doktór (blednąc)

Na kim?

Sędzina.

Pan nie wie? (*pauza*)

Doktór (panując nad sobą z trudem, ze śmiechem)

Ha! ha! rozumiem panią. To pani mści się
w tej chwili na mnie.

Sędzina.

Ja?.. Przecież pan wie, że jestem chora ko-
bieta.

Doktór.

Ale ja pani nie wierzę.

Sędzina (naciągając rękawiczki)

Nie?.. a dlaczego pan mnie zaraz zrozumiał?

Doktór.

Pani widzi, że jestem spokojny.

Sędzina.

Tem lepiej dla pana. (*głośniej*) A więc idziemy do domu.

Doktor.

Pani widzi, że się śmieję.

Sędzina.

Widzę. (*głośniej*) Dobranoc! idziemy.

Doktor (*idąc za nią, nagle ochrypłym głosem*)

Co pani wie?

Sędzina.

Nie... przepraszam... Drogi mężu, gdzie moja parasolka?

Doktor (*śmiejąc się cicho*)

Jakie to małe... śmieszne...

Sędzina (*ziewając*)

Tak, to zawsze śmieszne.

Doktor.

Nie udało się pani... nie wierzę!

Sędzina.

Dobranoc.

Marya (*na progu werendy*)

Nie, państwo nie idą... jeszcze nie przejechał kurjer...

Sędzina.

Moja śliczna pani, mój kuryer już dawno przejechał... Pani jeszcze młoda i zdrowa... pani ma przed sobą daleką podróż.

Sędzia.

Dobranoc! dobranoc! (*żegnają się na werendzie*)

Doktór (na werendzie)

Tędy przez ogród... ja państwa odprowadzę z latarką.

SCENA XIII. XIV

Marya — potem Wanda.

(*Marya wchodzi po chwili, jakiś czas stoi zamyślona, jakby wstuchując się w oddalające się głosy gości; potem idzie na przód sceny i kładzie się na sofie*).

Wanda (przystępując do stołu)

Zabrać?

Marya (wyciągając się)

Ah, nie... zostaw...

Wanda.

Jak chcesz.

Marya.

Do rana... do rana...

Wanda.

A więc... (*chce odejść*)

Marya.

Wanda!..

Wanda.

Co?

Marya.

Idziesz?

Wanda.

Tak.

Marya.

To czasem tak smutno, że się kończy wieczór...

Wanda.

Czy ten był bardzo przyjemny?

Marya.

Nie... nie... ale tak smutno, że się kończy.

Wanda.

Dobranoc!

Marya (*trochę sennym głosem*)

Mnie się dzisiaj zdawało, że się na mnie gniewasz.

Wanda.

Ja? nie mam powodu.

Marya.

Mnie się zdawało... (*Wanda odchodzi — za chwilę słychać głos doktora*)

Doktór (za sceną)

Gdzie Jurkiewicz? czy Kasia nie wie, gdzie pan Jurkiewicz?

SCENA XIV. XV

Doktór — Marya.

Doktór

(wchodzi gwizdząc, stawia latarkę na stole, potem rozgląda się naokoło)

Nie ma Jurkiewicza... (*widząc Maryę*) A!.. leżysz... (*staje przed nią*) Jesteś zmęczona, śpiąca... co?

Marya (nie otwierając oczu)

Bardzo.

Doktór.

To dziwne... Przed chwilą mówiłaś tyle i śmiałaś się, a teraz leżysz z zamkniętymi oczami. Przepraszam, ale teraz ja mam ochotę gadać... Chciałem przedtem pogawędzić z Jurkiewiczem, ale — pomyśl sobie — jego nie ma w domu.

Marya.

Nie ma w domu?

Doktór.

O! teraz otworzyłaś oczy... Jurkiewicza pokój pusty... nikt nie wie, gdzie jest. Ale to nic. Poszedł pewnie trochę pohulać... Wesoły człowiek!.. Ty sama mówiłaś, że go nigdy nie ma w domu... przypominam sobie, mówiłaś... nawet dwa razy... prawda?

Marya.

Może mówiłam.

Doktór (nagle)

Ale tobie się chce spać?.. Nie, oczy otwarte. Masz dzisiaj ciemne oczy... Wydajesz mi się, jak nie moja żona... dlaczego?.. jak obca kobieta... Ale jesteś ładna... ładna... (*głośno*) Wstawaj, coś ci powiem...

Marya (podnosząc się, sennie)

Mój Boże... co?.. co?

Doktór.

Wydajesz mi się, jak obca.

Marya (sennym, płaczliwym głosem, jak dziecko)

Cóż ja temu winna?

Doktór.

Ludzie mówią źle o tobie.

Marya (j. w.)

Cóż ja temu winna?

Doktór.

Nie wiem czy jesteś winna. Ludzie wszystko wiedzą... Sędzina mówiła...

Marya (J. w.)

Co... Sędzina?.. co chcesz odemnie?

Doktór.

Nic... Powiedz tylko, że mię kochasz... skłam, że mię kochasz, a dam ci spokój.

Marya (J. w.)

Ja taka zmęczona... zmęczona...

Doktór.

Ale mówić możesz. Jesteś dziecko... Boisz się?.. Ja wiem, że jesteś niewinna. Dlaczego się boisz?

Marya (J. w.)

Puść mię...

Doktór.

Wiem... słyszysz? czuję, że to nieprawda!.. Powiedz cośkolwiek... co tu się stało, jak mnie nie było? mów!..

Marya (J. w.)

Puść mnie ztąd Lolek!.. Tobie będzie lepiej bezemnie. Ty mnie nie kochasz... nikt mnie tu nie kocha... ani ty, ani Wanda... ani ci ludzie... Puść mię!..

Doktór.

Chcesz iść odemnie?.. całkiem?.. tak, teraz
Ale ja muszę przecie najpierw wiedzieć prawdę.
Ten dom, to ty! Rozumiesz? Jeżeli ty mnie oszu-
kiwałaś, to mnie oszukało to wszystko... Powiedz.

Marya (J. w.)

Puść mnie ztąd, Lolek!..

Doktór.

Mów... Jurkiewicz?.. to prawda? Ty mnie
nie znasz... myślisz, że przebaczam?.. nie, nigdy,
nikomu!.. Słuchaj, jeżeli to prawda... jeżeli... Ah!
ty... (*idzie do biurka i wyjmuje rewolwer*) Patrz!

Marya (*placząc, zakrywa twarz rękami*)

Nie... nie... nie... nie...

Doktór.

Patrz!

Marya (J. w.)

Rzuć Lolek! rzuć Lolek!..

Doktór.

Powiedz prawdę, to rzucę. (*spuszcza rękę*)
Maryś... (*całuje ją namiętnie w oczy, w usta,
w szyję*) dziecko... dziecko... Ludzie kłamią... praw-
da, że ty moja?.. powiedz!

Marya.

Puść!.. puść! (*kładzie się i płacze*)

Doktór.

Ludzie kłamią... ty jesteś dziecko... ty nie mogłaś mnie oszukać.

Marya.

Ludzie mnie nie lubią... nikt mnie nie lubi...

Doktór.

Ja ciebie kocham!..

Marya (sennym głosem)

Nie, Lolek, nie!..

Doktór.

Ja wierzę więcej twoim czystym oczom, niż ludziom.

Marya (j. w.)

Tak... ludzie mnie nie... On mówi, że ludzie...

Doktór.

Co? co?

Marya (j. w.)

Mówi, że przed ludźmi trzeba ukrywać szczęście.

Doktór.

Kto mówi?

Marya (j. w.)

On... on...

Doktór (zachrypłym głosem)

Jurkiewicz?

Marya (j. w.)

Tak.

Doktór (j. w.)

Ha! ha! przecie! moja piękna!.. czysta!.. ty
myślisz o nim...

Marya (j. w.)

O nim...

Doktór.

W tej chwili?..

Marya.

Zawsze!..

Doktór (jak zranione zwierzę)

Tyl!..

Marya.

Cóż ja temu winna?

Doktór (cicho)

Kiedy mnie nie było, to on mi skradł cie-
bie!.. Pierwszy lepszy przyszedł i skradł...

Marya.

Lolek, ja nigdy nie byłam twoja.

Doktór.

Byłaś... byłaś... zapłaciłem...

Marya.

Dlaczego mię wzięłeś Lolek? dlaczego mię wzięłeś? Myślałam, że tak być musi; nie wiedziałam, że kiedyś... kiedyś... Ja nic nie wiedziałam wtedy, kiedy jeszcze byłam u matki w Krakowie.

Doktór.

Nie patrz się tak na mnie!.. Myślisz, że ja jeszcze ten sam student, który za jedną noc zapłacił ci całym życiem?.. Rzuciłem wszystko dla ciebie, a ty... Pierwszy lepszy... (*bierze rewolwer, który przedtem rzucił*) Zbudź się, ty... zbudź się, słyszysz?.. Spójrz mi w oczy.

Marya (*krzyżąc*)

Lo... lek...

Doktór.

Spójrz mi w oczy, ty... mój wstyd... moje przekleństwo... moje zwichnięte życie!..

Marya (*i. w.*)

Lolek, ja chcę żyć... żyć... Puść mię... ucieknę jak pies.

Doktór.

Ty... (*strzela*) ty... (*strzela drugi raz*)

Marya (*upadając*)

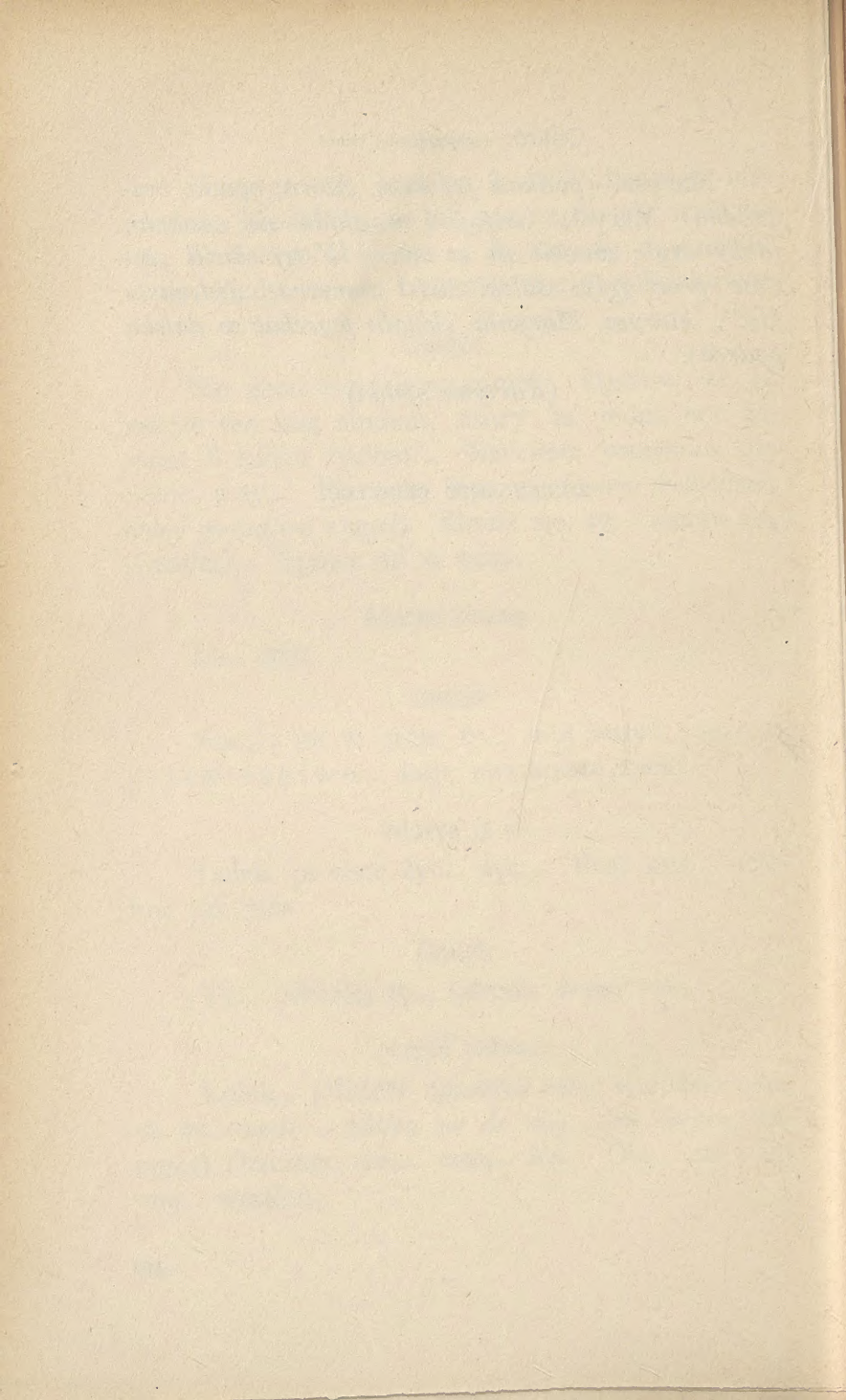
Lolek... (*Doktór opuszcza rękę, rewolwer upada na ziemię — zbliża się do niej, ona szepce, konając*) Dlaczego mię... wzią... łeś... Dla... cze... go mię... wzięłeś...

Doktor (schylając się, cicho)

Maryś... (podnosi jej rękę, która opada bezwładna) Maryś!.. (wstaje i rozgląda się naokoło, jakby nagle zbudził się ze snu. W tej chwili słychać przeciągły, daleki świst kuryera, „jedenasta pięć”, którym Marynia chciała pojechać w daleką podróż).

(Kurtyna spada)

KONIEC AKTU DRUGIEGO.



AKT III-ci.

Ten sam pokój. Wczesna wiosna. Urządzenie to samo, ale pokój wydaje się więcej pusty, niezamieszka-
kany: wszędzie chłodny porządek, każdy przedmiot
na swoim miejscu, tak jakby go nikt nie dotykał,
nikt nie używał.

SCENA I.

Sędzina — Kasia.

*(w chwilę po podniesieniu kurtyny wchodzi Sędzina,
za nią Kasia)*

Sędzina.

Cóż, jest panienka? Ah! moja droga, jak
u was zimno?

Kasia.

Panienki nie ma.

Sędzina.

Znowu nie ma? Tu gdzieś ciągnie, moja
droga. Już po raz drugi nie zastaję panienki.
A co słyhać? Od pana są jakie wiadomości.

Kasia *(waha się)*

Od pana?.. wiadomości?..

Sędzina.

No tak... jakże? Podobno w tych dniach
wraca?

Kasia (zmieszana)

Nie wiem... przepraszam... mnie nikt nie mówił...

Sędzina.

Nie wiesz?.. to dziwne, moja droga. Hm... Strasznie u was zimno... (*ogląda się naokoło i chce już wychodzić, gdy nagle z prawej strony wchodzi Sielski, prowadząc za rękę Antosia*).

SCENA II.

Sędzina — Sielski — Antek.

Sielski (nie patrząc na Sędzinę)

Nie wiedziałem, że tak prędko się zmęczysz... ale jeżeli wolisz iść teraz do ogrodu jak pisać, to możesz iść; nie chcę cię zmuszać.

Sędzina (patrząc przez lornetkę na Sielskiego)

Dobry wieczór panu!..

Sielski (z roztargnieniem)

Dobry wieczór! (*do Antka*) Biegaj tak długo po ogrodzie, jak masz ochotę; a gdy zechcesz znowu pisać, to mi powiesz — ja poczekam.

(*Antek biegnie do ogrodu*)

Sędzina (zbliżając się powoli do Sielskiego)

Pan bardzo łagodny z Antkiem... I ma pan rację, bo to biedne dziecko, bez matki... A właściwie nie miał nigdy matki.

Sielski.

Co pani?.. jakto, nigdy nie miał?

Sędzina.

Nie mówmy o tem. Przyszłam, bo stęskniłam się za Wandeczką... ale jej nie ma, prawda panie?

Sielski.

Zdaje się.

Sędzina.

Pan tu często bywa, prawda? Ja tu nie byłam przez trzy miesiące... od czasu procesu. A na samym procesie być nie mogłam, bo cierpiałam na newralgię w głowie. Jestem ciągle chora. Ale gdy się dowiedziałam jak proces wypadł, byłam tak szczęśliwa, że nie mogę panu opisać. Może usiadziemy.

Sielski (wskazuje z roztargnieniem krzesło)

Proszę pani... tu albo tam... Ja muszę za chwilę iść do ogrodu, zobaczyć, co robi Antek...

Sędzina.

Zdawało mi się dziś w nocy, że umieram; ale mimo to przyszłam, bo bardzo kocham Wandeczkę. Wszyscy ten dom kochają, prawda?

Sielski.

Może być... Nie wiem, co ludzie myślą i czują, bo z nikim nie żyję...

Sędzina.

O tak, wszyscy. Przecie to się widziało... Kiedy ogłoszono wyrok, była radość w całym mieście... tak jak wtedy, kiedy doktor został burmistrzem... Wszyscy byli za nim... Dwunastu sędziów z ludu, jak mówi mój mąż, dwunastu przysięgłych, ludzie prości, małuczcy orzekli: „on niewinny“. Wyszedł z sądu jak tryumfator.

Sielski (oglądając się niespokojnie)

To trochę za dużo... tryumfator!.. Zresztą, proszę pani, to takie przykre...

Sędzina.

Nie, panie, to pięknie! pięknie! Teraz wierzę znowu w sprawiedliwość!.. Tu okropny przeciąg! Dawniej rządziła tu kobieta, która była niegodna takiego człowieka... nie była godna!

Sielski (nagle, cicho)

To nieprawda!..

Sędzina (osłupiała)

Co? jakto?

Sielski.

Przepraszam panią, ale to nieprawda! — nie dam nikomu tak mówić.

Sędzina.

Ha! ha! pan bardzo energicznie broni tej kobiety. Pan ma silne wyrażenia.

Sielski (pokornie)

Bardzo przepraszam, ale nie mogę inaczej. Mnie to boli, jeżeli ktoś tak mówi... bo to okrutne, niesprawiedliwe... zwłaszcza w tym domu... tak, w tym domu, który jest zawsze jej... Tu się powinno w ogóle cicho mówić... bardzo cicho.

Sędzina (sztucznie, lekko, ale mimowoli ciszej)

Pan dziwny... pan zawsze broni wszystkich... pan jest zresztą zawsze innego zdania jak wszyscy.

Sielski.

Tak, zawsze innego zdania. Bardzo mi przykro.

Sędzina.

Pan jest przecie przyjacielem doktora... tak myślałam.

Sielski.

Przyjacielem?.. nie wiem... ale to zresztą nie ma nic do rzeczy. Chciałbym, żeby mu było jak najlepiej.

Sędzina.

Proszę pana, może nareszcie dowiem się od pana... Doktor jeszcze podróżuje, co? Wyjechał zaraz po rozprawie sądowej... tak... uwolnili go w jesieni... będzie temu cztery miesiące... i jeszcze podróżuje?.. he?.. *(po chwili, mrużąc oczy, powoli, cicho)* Bo ludzie mówią, że on już wraca. Dziś rozeszła się pogłoska... *(nachylając się do Sielskiego, niespokojnie, prędko)* Czy to prawda?

Sielski (zmieszany)

Nie wiem... nic nie wiem...

Sędzina (niby żartobliwie)

He! he!.. pan pewnie coś wie... ale zakazali panu mówić... Niech pan wybaczy... ale pan jest taki dobry...

Sielski (J. w.)

Nie... nic... niech pani się nie pyta... proszę!

Sędzina.

O! pan nie umie nic ukryć. Widzę z twarzy pana, że jest tak jak mówią ludzie. A przecież to byłoby dziwne. Nikt nie myślał, że on tu wróci... Naturalnie, że wszyscy szanują go, tak jak dawniej, i przyjmą go z radością, jestem pewna. Ale zdawało mi się, że on sam nie zechce, bo przecież Pan Bóg dał mu nie na to zdolności, żeby tu siedział, co? Jak długo żyła ona, to musiał... była jego nieszczęściem... kulą u nogi!

Sielski.

Nieprawda!.. mój Boże!.. nieprawda! Pani przecie nie wie, kto ona była... nikt nie wie...

Sędzina (złośliwie)

Zdaje mi się, że wiemy wszyscy aż nadto. Ośmielam się twierdzić... pan wybaczy... Wiedzieliśmy dawno, zanim jeszcze ta kobieta zapłaciła swemu mężowi tak pięknie za jego szlachetność.

Sielski.

Za jaką szlachetność?

Sędzina.

Choćby za tę, że się z nią ożenił. To wprawdzie był jego obowiązek... ale wielu jest mężczyzn, którzy się do takich obowiązków poczuwają.

Sielski.

Nie wiem, spodziewam się, że nie wielu, bo to byłoby straszne! Tak, teraz rozumiem... Pani bardzo dobrze powiedziała: doktor ożenił się z obowiązku... dlatego, że tak każą ludzie... dlatego, że tak się robi w podobnych wypadkach. Pani ma świętą rację. Całe życie doktora było wyrazem tego, co państwo uważacie za dobre.

Sędzina (ostro, z uśmiechem)

A co według pana dobrem nie jest?

Sielski.

Ja się o to nie troszczę... nie słyszę tego, co mówią ludzie... sam sobie wystarczam... i mam spokój. Ale on was potrzebował zawsze, i życie wasze, to jego życie... kochał was więcej niż siebie... A kiedy kazaliście mu zabić tę kobietę...

Sędzina (wybuchając)

Panie, to za wiele!.. to szaleństwo!.. kto kazał?..

Sielski (oglądając się niespokojnie, cicho)

Nie tak głośno... nie tak głośno... Pani się pyta, kto kazał?.. wasza sprawiedliwość... tak, powiem pani w sekrecie: wasza sprawiedliwość!.. Przecie waszych dwunastu sędziów orzekło potem, że dobrze zrobił...

Sędzina (i. w.)

To nadto! Mój mąż się dowie, co pan powiedział... całe miasto się dowie...

Sielski (z roztargnieniem)

Dobrze, dobrze... ale niech pani tak głośno nie mówi, bo może on jest w przyległym pokoju... i może słyszeć...

Sędzina.

Kto może słyszeć? (z *nagłym strachem*) Doktor? on tu jest?

Sielski (miarkując się)

Mój Boże... co ja powiedziałem?! Tak, doktor tu jest!

Sędzina (cofając się)

Ach tak... ach tak...

Sielski.

Bardzo mi przykro, że to powiedziałem... a proszono mnie wyraźnie... Bo doktor nie chce się z nikim widzieć.

Sędzina (nerwowo, kładąc szybko kapelusz)

Tak?.. więc on tu jest?.. nie chce się wiedzieć?..

Sielski (z rosnącym zakłopotaniem)

Bardzo mi przykro... nigdy nie uważam... Ale może pani poczeka na Wandę... (*chcąc niejako naprawić swą niezręczność*) Proszę pani... proszę pani...

Sędzina (j. w.)

Nie... dziękuję... kiedyindziej... nie mam czasu...

Sielski (zbliżając się do okna)

Bo może ona jest gdzieś w ogrodzie... (*woła*) Panno Wando!

Sędzina (j. w. — w drzwiach, kiwając ze strachu rękami)

Nie!.. nie!.. niechże pan nie woła!.. Już idę. (*odchodząc*) Kiedyindziej... (*znika*)

Sielski (sam, wołając jeszcze głośniejsze przez okno)

Panno Wando!

SCENA III.

Doktor — Sielski.

Doktor

(zjawia się nagle w drzwiach z lewej strony. Na pozór nic się nie zmienił od drugiego aktu, nawet te same ruchy szybkie, ten sam sposób niby jowialny, szorstki, prosto z mostu, ten sam głos a czasem śmiech, ale wszystko jakby parodyowane, tak jakby tylko grał dawnego doktora i przytem trochę przesadzał; zresztą przybladł trochę i jest mniej starannie ubrany)

Co się dzieje?.. panie...

Sielski (odwraca się z lekkim okrzykiem)

A!.. nic... przepraszam...

Doktór.

Jakto nic?.. do licha! pan tu sam? Byłbym przysiągł, że pan z kimś mówił.. Co się dzieje?.. he?.. Bliżej... bliżej... Siadaj pan... Mógłbyś pan częściej przychodzić... Może cygaro?

Sielski.

Nie, dziękuję... tu była pani sędzina.

Doktór.

Co sędzina?..

Sielski.

Tak... a ja jej powiedziałem, że pan przyjechał.

Doktór (po chwili)

A niechże pana... pan jej powiedziałeś?

Sielski.

Tak... wymknęło mi się... Przepraszam. Wiem dobrze, że pan nie chce, aby ludzie wiedzieli... ale ja nie umiem... wymknęło mi się...

Doktór (śmiejąc się, niby gniewnie)

Ha! ha!.. to ślicznie z pana strony.

Sielski.

Jestem nieszczęśliwy...

Doktór

(j. w., ukrywając z trudem rosnące podniecenie, prawie radość)

Patrzcie... to dobre! teraz pan nieszczęśliwy! Cóż ja mam z tego? Pan stworzony na dyplomata. Wymknęło się panu? dziękuję!.. (*chodząc szybko po pokoju*) Ha! ha! powierza mu się tajemnicę, a on... Wie pan co z tego będzie? za chwilę będą tu tłumy ludzi... zobaczy pan... tłumy...

Sielski.

Pan myśli?..

Doktór.

Ależ najpewniej. Sędzina nie wytrzyma... Za chwilę będzie wiedziało całe miasto. (*patrzy na zegarek*) A to baba z pana!.. (*zacierając ręce*) Nieszczęście... kłopot... Nie wiedzieć, jak się skryć przed ludźmi!.. (*nie mogąc ukryć naglej radości*) do licha! nieszczęście!

Sielski.

Bardzo przepraszam... pan nie wie, jak mi przykro... Ale może przecie nikt nie przyjdzie.

Doktór (*stając przed Sielskim*)

Co? nikt nie przyjdzie?.. (*prawie ostro*) A to dlaczego, jeśli wolno zapytać?

Sielski.

Przypuszczam... Zresztą powiedziałem wyraźnie pani Sędzinie, że...

Doktór (niepokojnie)

Co? co pan powiedziałeś?

Sielski.

Że pan nie chce z nikim się widzieć... tak, wyraźnie powiedziałem.

Doktór (zimno, z nieміłym spokojem)

Tak?.. to niepotrzebne... wcale niepotrzebne. To jest dziwne u pana, że pan zawsze przesadza. Zresztą nie prosiłem nikogo, żeby wypędzał ludzi z mego domu

Sielski (po chwili, cicho)

Panna Wanda mi mówiła, że pan nie chce nikogo przyjmować.

Doktór (machnąwszy ręką)

Eh... naturalnie że z początku... ale teraz... Przecie nie będę całe życie zamykał się w pokoju... (*nagle przygnębiony*) Pan myśli, że tu nikt nie przyjdzie?

Sielski (cicho, niepewnie)

Nie wiem...

Doktór (niecierpliwie)

Co?

Sielski (j. w.)

Przepraszam... nie wiem...

(*pauza*)

Doktór (patrząc na zegarek)

Minał kwadrans... Tak, sędzina wróciła już dawno do domu i powiedziała mężowi. Tak, a po drodze może spotkała znajomą i także jej powiedziała: „czy pani wie? — doktor przyjechał“. A ta znajoma opowiada drugiej... a druga trzeciej... to rozchodzi się szybko... jak telegraf. W tej chwili wie już całe miasto. Czy pan nie myśli?

Sielski.

Może... nie wiem...

Doktór.

Pan nic nie wie!.. Pan nie zna świata, stosunków... Przyznam się panu, że to czasem okropnie drażniące z panem mówić... Niech pan nie myśli, że mi ot tyle imponuje filozofia. Pan przecie nie wie więcej o świecie i ludziach niż mój Antek. Nie rozumiem, dlaczego pan przypuszcza, że nikt nie zechce przyjść do mnie?

Sielski.

Tego nie powiedziałem.

Doktór.

Ale pan sobie myślał. Mój panie, pan mnie nie oszuka. Daj się pan wyśmiać. *(po chwili, z gniewnym śmiechem)* Czy pan myśli, żebym takiemu człowiekowi jak pan dał córkę za żonę? co?

Sielski.

O tem przecież nie mówimy. *(wstaje)*

Doktór.

Słusznie! o tem nie mówimy — zresztą, ja nie mam córki. Ale czy pan myśli żebym panu dał na przykład Wandę! he! he!

Sielski.

Co pan... przecież i o tem nie mówimy.

Doktór (śmiejąc się nieszczerze)

Do licha! i o tem nie?.. więc o czem? Może nic nie mówmy?.. Ja już i tak zapomniałem mówić. Jestem tu tydzień, a wydaje mi się jak rok. Co wam się stało? He... (*cicho, smutnie*) Wanda także taka rozmowna. Dzieci nawet nie hałasują tak jak inne dzieci. Zdaje mi się, że je za dobrze wychowałem i za to będę miał smutną starość. Do licha! cały dom taki... cały dom... (*na-agle zmienionym tonem*) Panie, jabym chciał znowu coś robić, do stu dyabłów! Czulem, że coś mi nie da żyć... a to jest właśnie to... Chciałbym nareszcie pracować, kochany panie...

Sielski.

To rozumiem.

Doktór.

Szczęście, że pan przecie coś rozumie. Chciałbym mieć, jeżeli nie ludzi, to przynajmniej pacjentów, łaskawy panie, uważa pan? choćby tylko pacjentów. Ale cóż, kiedy pan wypędza ludzi z mego domu. (*wstaje*) To jest to właśnie ta

przeszkoda, co mi nie daje żyć. *(nagle)* Czy sędzina nie mówiła panu, że jest chora?

Sielski.

Nic nie mówiła.

Doktór *(patrząc na zegarek)*

Dwadzieścia pięć minut. *(staje przy oknie)* Idzie Szymon... hm... ten z kolei... Wanda mówiła, że jego żona ciągle słaba. Jak się dowie, że ja tu jestem, to zaraz przyjdzie. Ho! ho! bo to hołota... banda... nie można się opędzić... *(po chwili)* Nie widzi mnie... hm... nie widzi... *(nagle)* teraz zobaczył... kłania się... poznał... *(niespokojnie)* ale przechodzi... nie idzie do mnie... Muszę ja go trochę... trzeba go ośmielić. Hej! Szymon! Rozumiesz pan? trzeba go ośmielić... *(chce wyjść — u progu spotyka się z Wandą)* Jak się masz... czekaj... puść mnie!

Wanda *(wchodząc)*

Dokąd?

Doktór *(szybko wychodząc)*

Nic... nic... zaraz wrócę. *(odchodzi)*

SCENA IV.

Wanda — Sielski.

Wanda *(ogląda się za doktorem, potem do Sielskiego)*

Po co poszedł?

Sielski.

Po kogoś... nie wiem... wszystko jedno... Zobaczył Szymona z dworca i poszedł za nim. Chce mówić z ludźmi.

Wanda.

A tak...

Sielski.

Tak, on bez nich żyć nie może... wszystko jedno kto: Szymon albo pani Sędzina.

Wanda.

A tak...

Sielski.

Wiedziałem, że tak będzie. Teraz jest tylko pytanie...

Wanda.

Niech pan nie kończy... Ja wiem, to będzie straszne. On bez nich żyć nie może... ale oni...

Sielski.

Właśnie... oni bez niego żyją i żyć będą.

Wanda.

Niech pan nie mówi.

Sielski.

Pani to przecie sama czuje... pani sama wie, że tak będzie.

Wanda (siada z westchnieniem i opuszcza ręce na kolana)

Zawsze przychodzi ten upiór, którego człowiek się najwięcej boi.

Sielski.

Co pani?

Wanda.

Nic. Ja to wiem z czasów, kiedy byłam dzieckiem... i miałam jeszcze takie straszne sny z upiorami.

Sielski.

A to nie tak dawno.

Wanda.

Nie wiem. Mnie się wydaje wszystko dawno... wszystko daleko za mną, nawet to, co było przed rokiem... nawet ten czas, kiedy ten dom żył... kiedy tu chodziła Marynia i mówiła głośno, i śmiała się, i krzyczała na dzieci... i była sama jak dziecko. *(milknie na chwilę, zdaleka słychać cichy, przeciągły świst pociągu, który nieznacznie się gubi)* On bał się zawsze tego upiora, który się nazywa samotność. A teraz...

Sielski.

Proszę pani, mnie jest strasznie, jak pani mówi takim cichym, smutnym głosem... Bo przecież tak być nie może... tak być nie powinno... Pani jest taka młoda. I w pani jest coś silniejszego niż wszystkie upiory... Dla pani jest jeszcze

życie po za tym domem, który nie żyje. Pani
ztaąd wyjdzie w świat... w słońce... pani jak kwiat...

Wanda.

Proszę pana, rzecz jest taka, że ja chciałam
tu zostać tylko tak długo przy dzieciach, dopóki
on nie wróci... ale teraz...

Sielski.

Co teraz?

Wanda.

Przecież pan czuje, że on nie może być sam.

Sielski.

On?

Wanda.

Tak... on, nie dzieci, tylko on. (*nagle uśmiecha się smutno*) Widzi pan, mnie się to wydaje
takie dziwaczne... niemożliwe, żeby on był sam...
takie niedorzeczne... On i pustelnik! I mnie się
zdaje, że ludzie przecież do niego przyjdą. O! niech
pan nie trzęsie głową... oni do niego przyjdą...
Ja to czuję naraz w tej chwili... i będę to ciągle
sobie powtarzać.

Sielski.

Tak... pani będzie to sobie powtarzać, tak
jak się w ciemności śpiewa.

Wanda.

Oni do niego przyjdą... bo on przyciąga...
bo on ich do tego zmusi, rozumie pan?.. Tak jak

ich raz zdobył swoją wolą .. tem życiem, które w nim jest, zdobędzie ich po raz drugi. Pan zobaczy.

Sielski (cicho, znacząco, powoli)

Bo on taki prawdziwy mężczyzna.

Wanda (nagle, z uśmiechem)

A! pan ma dobrą pamięć, bardzo dobrą.

Sielski.

Nie do wszystkiego; pamiętam tylko niektóre rzeczy. Wiem nawet kiedy to pani powiedziała. Czy pani wie?.. wtedy, kiedy się dowiedziałem że pani... *(w zamyśleniu, dobitnie, jakby cicho czytał)* nic dla mnie nie czuje... nic dla mnie nie... hm... *(milknie i zakrywa twarz rękami)*

Wanda (odwracając głowę)

Może o tem nie mówmy — co?

Sielski (odstania twarz i patrzy jej prosto w oczy)

Dlaczego?.. czy pani myśli, że ja się tego boję?.. Przecież ja o niczem innem nie myślę, więc mogę o tem mówić całkiem spokojnie. Przecież ja tem żyję!.. To tak jak bym się bał mówić o tem że oddycham, że widzę światło słoneczne... że mi bije serce... Przecież ja tem żyję.

Wanda (w nagłym zakłopotaniu spuszcza oczy)

A... proszę pana... może przecież o tem nie mówmy... *(odwraca się)*

Sielski

(pewnie, choć trochę drżącym ze wzruszenia głosem)

Niech pani popatrzy... może pani na mnie popatrzeć... czy nie jestem spokojny?..

Wanda

(podnosi powoli wzrok, uśmiechając się nieznacznie — coraz jaśniej)

Tak, pan rzeczywiście spokojny... (*cicho, ale prawie z podziwem*) Mój panie, mnie się zdaje, że w panu samym jest tyle pogody i jakiegoś anielskiego spokoju, że pan nie potrzebuje już właściwie nikogo do szczęścia... pan nie...

Sielski.

A pani nie potrzebuje?.. Co? widzi pani, zapraszam panią do mego domu, w którym jest spokój... ciągle panią zapraszam... Czy pani nie czuje... czy pani nie czuła nigdy?.. bo ja nie tylko słowami panią zapraszam... ale ja czekam... patrzę na panią i czekam... A jak pani zechce...

Wanda

(błada, ogromnie wzruszona, ale z uśmiechem, dotyka się jakby ze strachem jego ręki)

Cicho... mój panie... cicho!..

Sielski (ścisnąc, porwany uczuciem, mimowoli jej rękę)

Ja... czekam...

Wanda

(wrywa się i ucieka do okna, gdzie opiera się na rękach, odwrócona tyłem do Sielskiego; po chwili, jakby po płaczu, sucho, krótko)

Niech pan idzie!.. co?.. pójdzie pan?..

Sielski

(stojąc jak słup na tem samem miejscu, cicho, bezradnie)

Co?.. iść?.. hm... dokąd?

Wanda (prawie opryskliwie)

Niech pan idzie... dokąd pan chce... do ogrodu... do lasu... *(nagle bez przejścia, zmienionym głosem)* Zresztą ktoś przyszedł... *(patrzy przez okno)* A! Sędzia... idzie z Lolem... tu idą... na prawdę...

Sielski (z roztargnieniem)

Sędzia... już się dowiedział... od żony... tak, pewnie już od niej słyszał... Przepraszam panią... idę... *(zbliża się do drzwi)* Idę...

Wanda.

A Sędzina zkąd wie?

Sielski.

To ja powiedziałem. Przepraszam... wymknęło mi się... Do widzenia... bardzo przepraszam... *(potyka się u progu)* wymknęło mi się... *(Wychodzi. — Wanda patrzy chwilę za nim, wreszcie odchodzi na lewo. Przez chwilę scena pusta).*

SCENA V.

Sędzia — Doktor.

Sędzia

(wchodzi pierwszy przez drzwi ogrodowe a za nim idzie doktor. Sędzia jest widocznie pod wrażeniem pierwszego widzenia się z doktorem, ale naturalnie stara się być swobodnym i towarzyskim; wchodząc mówi, jakby prowadził dalej zaczęłą rozmowę)

Rozumie się... rozumie się... ogromna niespodzianka... Moja żona przyszła zadyszana...

Doktor.

A w szpitalu? Może napije się kochany sędzia wódeczki? A co nowego w szpitalu?

Sędzia.

Dziękuję za wódkę! broń Boże!.. całkiem się odzwyczajam.. zupełnie...

Doktor.

Proszę... siadajże kochany sędzio... opowiadaj... co nowego naprzykład w szpitalu?

Sędzia.

Aha!.. rozumie się... naturalnie że i w szpitalu są pewne zmiany... rozumie się... Przez tyle czasu... to bywa...

Doktor (chciwie)

Jakie zmiany?.. co takiego?

Sędzia (j. w.)

Pewne drobniutkie, całkiem nieznaczące... to bywa... Ja się na tem nie znam... inni wszystko wiedzą, ale u nas... konsyljarz wie... tyle roboty... od rana do wieczora... z nikim nie mówię, nikogo nie widzę... Ta nowa procedura cywilna... człowiek uczy się panie tego jak studencik. Co innego moja żona...

Doktór (j. w.)

Ale nic większego?.. taka jakaś ważniejsza, gruntowna zmiana?..

Sędzia.

Gdzie?.. A! doktor jeszcze o swoim szpitalu?.. Naturalnie każdy o swoich rzeczach... he! he! Nic większego... nie, broń Boże! Nic takiego, coby panie, hm... Zresztą konsyljarz się dowie... sam pójdzie, zobaczy... naturalnie... gdzieżby... A pan jak dawniej z cygarkiem?.. he... he... bo ja już nie palę...

Doktór (z roztargnionym uśmiechem)

Tak? sędzia nie pali?

Sędzia.

Uchowaj panie... ani tyćko... nic... Hygiena, uważa kochany konsyljarz... Zakazali mi i wódkę i tytuń... wszystko... Ja wiem, że doktor kpi z takich rzeczy... he... he! ale cóż robić?.. są różne zdania... Zakazał mi ten nowy...

Doktór.

Jaki nowy? kto taki?

Sędzia.

Kto? (*chwilę zmieszany, nie wie co mówić*)
No ten... pewien lekarz... pewien lekarz...

Doktór.

Aha!

Sędzia.

Właśnie... pewien znajomy... pan go nie zna...
tak... to bywa... (*namyślając się*) Panie drogi...
panie drogi... chciałem się jeszcze zapytać... (*nagle, prędko, lekko*) pan długo tu jeszcze zabawi?

Doktór.

Jakto?.. (*wybuchając sztucznym śmiechem*)
Jak?.. czy długo zabawię?.. ha! ha! Dobryś, łaskawy sędzio!.. Przecież wróciłem... do licha!..
nareszcie wróciłem i nie myślę znowu gdzieś wyjeżdżać... po co?.. dokąd?

Sędzia.

Ja tylko tak... he! he! ja myślałem tylko, że...
(*delikatnie, ostrożnie*) może kochany konsyljarz
zechce wziąć się teraz do czegoś większego... do
jakiejś wdzięczniejszej, łagodniejszej pracy... gdzieś...

Doktór (*marszcząc brwi*)

Co?.. co?.. buty szyć?.. brody golić?.. co?

Sędzia.

He! he!.. zawsze ten sam... he! he! brody golić! (*nagle poważniejąc*) Nie, ja tylko myślałem, że może doktor wrócił teraz do dawnego zamiaru.

Doktor (*oczekująco*)

Do jakiego zamiaru?

Sędzia.

No, przenieść się gdzieś do większego miasta, do całkiem wielkiego... to bywa... na przykład do Lwowa... profesura... coś... szersza arena, większe zadanie...

Doktor (*spokojnie*)

Chcecie się mnie pozbyć?..

Sędzia.

O! o! dajże konsyljarz pokój... hm! jakże pozbyć się? cóż znowu?.. mówię tak ot, po przyjacielsku... po dawnemu, po sąsiedzku. Ładna historia! pozbyć się!.. Ot, pytam się, radzę... to bywa.

Doktor (*j. w.*)

To na nic, bo ja tu zostanę. Jeżeli tu żyć nie potrafię, to i nigdzie. Ha! trudno!.. musicie mnie znieść. Zaraz zacznam robotę w szpitalu.

Sędzia (*lękliwie*)

Gdzie?

Doktór.

W szpitalu... muszę pracować... To mię tak męczy ta bezczynność... źre! o!.. (*wstaje*) Do stu dyabłów! jak się wezmę do roboty, to będę znowu żył!.. Dlaczego nie? he?.. tylko pracy mi trzeba!.. tylko tego... Zaczynam robotę w szpitalu.

Sędzia (j. w.)

Tak... hm... tylko że w szpitalu...

Doktór.

Co?

Sędzia.

Jest teraz ktoś inny... chwilowo... tylko teraz...

Doktór (z dziwnym spokojem)

A!... tak... chwilowo...

Sędzia.

Właśnie... Obecnie miejsce prymariusza zajęte... ale można poczekać...

Doktór (j. w.)

Naturalnie... można poczekać...

Sędzia.

Zresztą i po za szpitalem znajdzie się dużo zajęcia, czemu nie?

Doktór.

Hm... tak...

Sędzia.

Ale jak już zauważyłem, nie trzeba zapominać o dawnym planie. Lwów... ot co! Tam, panie, nasza arystokracja duchowa... wszystko co najlepsze... śmietanka...

Doktor.

Eh, nie trzeba...

Sędzia.

Co nie trzeba?.. jakto nie trzeba?.. nie rozumiem.

Doktor.

Przyszło mi właśnie na myśl, że mnie się nie chce pracować...

Sędzia.

Nie chce się?.. (*po chwili*) Hm!.. bo może pan się tem zmartwił, że w szpitalu jest chwilo-wo ktoś inny?.. — tak nie można!.. Trzeba się panie... hm!.. to bywa.

Doktor

(siadając całkiem spokojnie, zapala sobie powoli cygaro i dopiero potem mówi)

Nie, ja się wcale nie zmartwiłem... (*pali*) wcale nie... I nawet sam się temu dziwię, że się nie zmartwiłem. Ale to pochodzi prawdopodobnie ztąd, że mi właściwie na pracy nic nie zależy... i że ja właściwie nie po to wróciłem tutaj...

Sędzia.

Nie po to?

Doktór.

Nie... I że ja właściwie nie dlatego żyć nie mogę, że mię trapi bezczynność.

Sędzia.

Tylko co?

Doktór.

Tylko że zabiłem żonę.

Sędzia.

Panie... co pan... ej!..

Doktór.

Tak, że zabiłem żonę i nikt mi za to nic nie zrobił.

Sędzia.

Panie... co panu... ej!

Doktór.

I tak być nie może... z tem naturalnie żyć nie można... I ja tylko dlatego wróciłem, żeby się tego pozbyć.

Sędzia.

Ej, panie... co pan...

Doktór.

Bo tylko dlatego żyć nie mogę, słyszysz pan? tylko dlatego! Jechałem tu jak we śnie i właści-

wie nie wiedziałem po co jadę... Tylko mnie ciągnęło... ciągnęło... A teraz wiem...

Sędzia (zatykając sobie uszy)

Cicho!.. cicho!.. czego pan chce?.. to już skończone.. Przysięgli orzekli...

Doktor.

Oni nie wiedzieli, jak to było... ja wszystko powiem...

Sędzia.

O!.. tylko tego nie ruszać... to niedobrze... bardzo niedobrze!..

Doktor.

Przysięgli nie wiedzieli, że ja dziecko zabiłem... nie kobietę... lecz dziecko. Bo kiedy do niej strzeliłem, skarżyła się jak dziecko: dlaczego mnie wzięłeś, Lolek?

Sędzia.

Cicho!.. zlituj się pan... lepiej nie tykać... Jest wyrok... Bogu dziękować.

Doktor.

Jest wyrok... dobrze! Ale ja żyć nie mogę. Ci przysięgli, to obcy ludzie... nie wiedzą jak to było. Ja chcę sprawiedliwości.

Sędzia.

Sprawiedliwości?.. no tak... przecie wszystko odbyło się według prawa... i według tego jak ludzie czują... jak wszyscy czują.

Doktór.

Do licha!.. co mi tam wszyscy, kiedy ja czuję inaczej... kiedy we mnie jest coś takiego jak choroba śmiertelna. I boli i gryzie. Ja chcę wyzdrowieć i przychodzę do pana jak do lekarza... tak jak do mnie przychodzili ludzie po zdrowie, po lekarstwo. Przecież pomagałem ludziom jak mogłem, musicie przyznać. Teraz ja przychodzę do pana.

Sędzia.

Hm... tak... rozumiem... Niech pan się uspokoi... Niech mi pan wierzy, że zrobiłbym wszystko... ale cóż ja panu powiem?.. Pana już osądzili... ale pan chce czego innego, bo pan się męczy... to bywa. Ale zkądże ja panu wezmę innej sprawiedliwości? Jesteśmy ludźmi. Bardzo mi pana żal... ale jesteśmy ludźmi. Pan mówi, że do pana przychodzą po zdrowie... dobrze; a co pan wtedy robi?.. pan im daje flaszeczkę z napisem łacińskim i mówi: w tem jest lekarstwo. I ludzie biorą flaszeczkę i wierzą, a czasem nawet wyzdrowieją... to bywa... a czasem i nie... a pan nigdy nie wie, co będzie... bo pan czuje, że zdrowie nie jest w tej flaszeczce, tylko gdzieś... Co ja wiem? Jedni mówią w rękach Boskich... co ja

wiem?.. Jesteśmy ludźmi. Cóż ja panu poradzę? Jestem trzydzieści lat sędzią... i niech mi pan wierzy, ja czuję... czuję, że nasza ludzka sprawiedliwość jest... jak ta medycyna... ma swoje granice, jak wasza nauka. Idzie dotąd, dokąd się w nią wierzy, a po za tem...

Doktor (zachrypłym głosem)

Co po za tem?

Sędzia.

No, to już rzecz prywatna. Co ja wiem? Potem jest każdy człowiek swym własnym sędzią... tak... hm... to bywa.

Doktor (j. w.)

A... tak...

Sędzia.

Hm... Trzeba iść... żona czeka... robi się ciemno... hm...

Doktor (j. w.)

Swym... własnym... sędzią...

Sędzia (podając mu rękę)

Dobranoc... trzeba iść.

Doktor (z roztargnieniem)

A tak... dobranoc... *(nagle zbliża się z dziwnym uśmiechem do sędziego, klepiąc go po ramieniu cicho)* Z was jest okropny pan...

Sędzia.

He?

Doktor.

Straszny pan... ha! ha!.. Pan wie wszystko!

Sędzia.

Jakto? co naprzykład?

Doktor.

Naprzykład jedną myśl, którą teraz mam...
ha! ha!

Sędzia.

Co pan... jaką myśl?..

Doktor.

Ot, przywiozłem ją sobie z podróży... ale
o tem nie wiedziałem... dopiero teraz.

Sędzia.

Co?

Doktor.

No, to, co sędzia przed chwilą mówił.

Sędzia.

Nie rozumiem... (*milczenie. Sędzia patrzy na
niego, potem powtarza*) Trzeba iść...

Doktor.

Tak, trzeba iść... a mnie się zostawia same-
go... ha! ha! samego z sobą.

Sędzia.

Trudno... niedługo się zobaczymy.

Doktór (dziwnym głosem)

Sędzia myśli?

Sędzia.

Nie rozumiem...

Doktór.

Nie? (*nieprzychylnym tonem*) Nie? (*nagle bierze go wpół i całuje w oba policzki*) Dobranoc!

Sędzia (patrzy na niego długim wzrokiem — powoli)

Dobranoc! (*powoli odchodzi*)

Doktór (kiedy sędzia jest u progu)

Sędzio!..

Sędzia (oglądając się)

Co?

Doktór.

Z was jest okropny pan.

Sędzia (wzruszając ramionami)

Ej, co konsyljarz...

Doktór.

Dobranoc! (*Sędzia odchodzi. Doktor siedzi jakiś czas zamyślony, potem powtarza cicho*) Sam...

własnym... sędzią... (*idzie do biurka, wyjmując rewolwer; odchodzi, idąc na palcach i oglądając się na wszystkie strony*).

SCENA VI.

Wanda — Sielski.

(*wchodzą z ogrodu*)

Sielski.

Niech mi pani powie, droga pani...

Wanda

(*z uśmiechem, błada, drżącym głosem, biorąc się za serce*)

Zaraz... zaraz...

Sielski.

Pani mię wołała... słyszałem wyraźnie. Szedłem do domu powoli... koło ogrodu i zdawało mi się, że ogród pusty... i naraz słyszę głos pani... O tak, z pewnością słyszałem, raz, drugi... pani mię wołała. A kiedy wszedłem do ogrodu, zastałem panią taką bladą, dziwną... o niech pani powie!..

Wanda (*nagle, poprostu*)

Tak, ja pana wołałam.

Sielski.

Więc przecie... co pani?..

Wanda.

Boję się...

Sielski (cicho)

Czego?

Wanda.

Tego, że ciemno się robi... i tego, że jestem sama... i wszystkiego...

Sielski.

I pani mnie wołała...

Wanda.

Ah! mój Boże... niechże pan zrozumie... O! jaki pan dziecko... Niechże pan zrozumie, dlaczego wołałam.

Sielski.

Panno Wando, niech pani powie... Bo teraz ja się boję... bo coś myślę... i boję się uwierzyć...

Wanda (łkając, ze śmiechem, cicho)

O! pan już nie zaprasza?..

Sielski.

Co?... głośniej... co?

Wanda (wybuchając)

Niechże pan mnie zaprosi... niech mnie pan nareszcie zaprosi do swego domu gdzie jest zawsze światło i spokój... niechże pan zaprosił..

Sielski.

Wando! Wando!

Wanda (rzucając mu się na szyję)

Ach! ty... wielkie dziecko!.. ty mój!.. weź
mnie, weź do swego domu!

Sielski (tuląc ją do siebie)

Wando! *(pauza, trzymając się w objęciach)*

Wanda

(budząc się niby ze snu, głosem na pół zachrypłym, przez łzy, cicho)

Ale teraz...

Sielski.

Teraz jesteś moja.

Wanda.

Mój Boże! teraz on...

Sielski.

Kto? powiedz.

Wanda.

Jak jemu powiemy?

Sielski.

A! gdzie on?.. chodźmy!

Wanda.

Nie mam odwagi... Teraz będzie sam..

Sielski.

Chodźmy...

Wanda.

Cicho.. on tam.

Sielski (wskazuje na drzwi)

Tutaj?.. (zbliżają się do drzwi. W tej chwili
słychać strzał)

Wanda.

Boże! (Sielski otwiera prędko drzwi i pierw-
szy wchodzi)

Sielski (w progu)

Co tu? (nagle) Ratunku!

Wanda (wchodząc za nim)

Co? co? (przeraźliwie) Ach!..

Sielski.

Ratunku!.. Nie żyje!

(Kurtyna spada)

KONIEC.



